WTOREK
Nr 91 88-08-02 Cena 25 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

dziś w numerze

MUPPETY

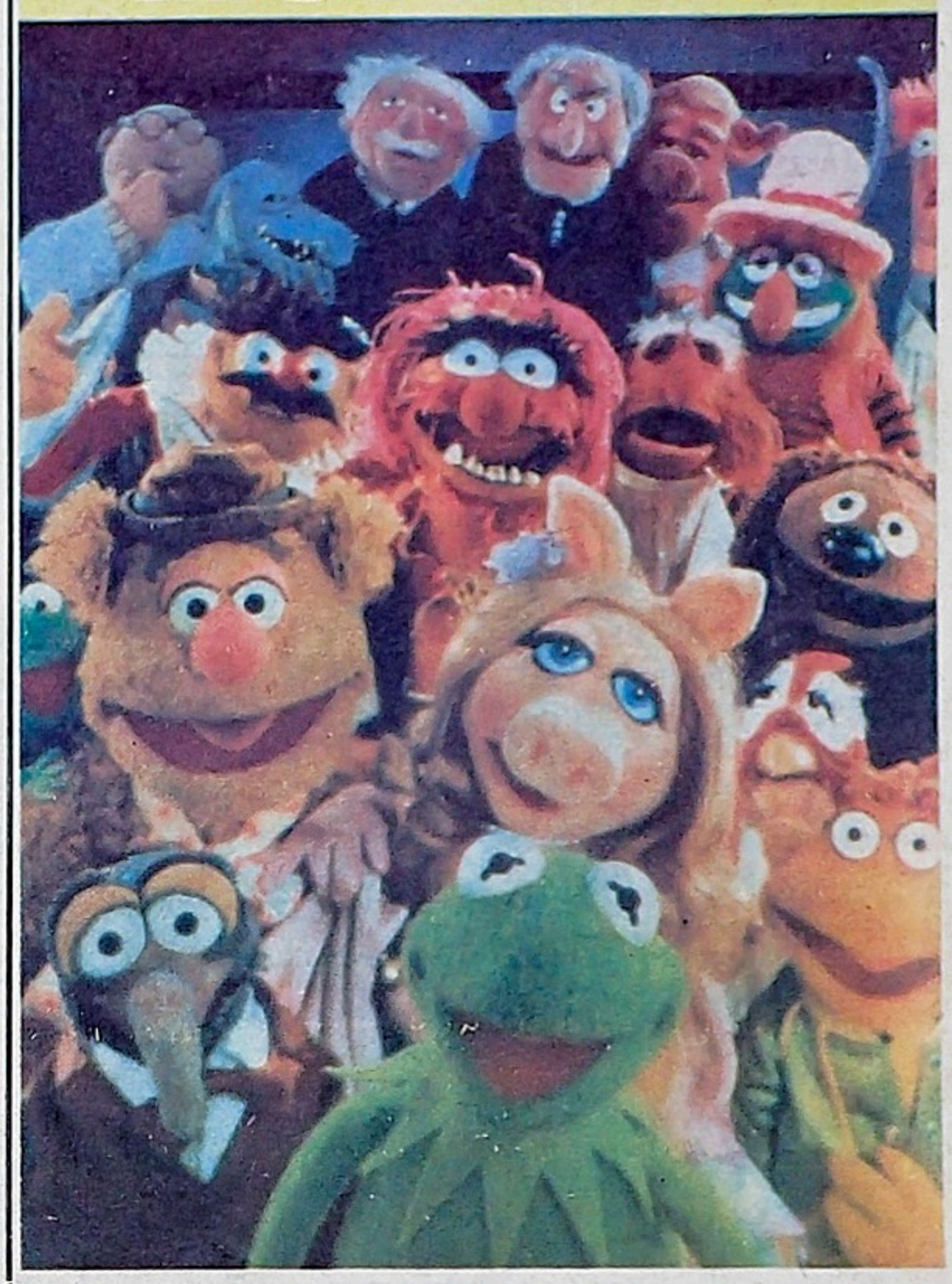

Jak zawsze we wtorek o godz. 10[00] w IV pr. PR słuchamy i uczymy się śpiewać.

Słowa: Irena Kwinto
Muzyka: Aleksander Pałac

SZŁA PIOSENKA Z HARCERZAMI

Szła piosenka leśną drogą,
przytupując lewą nogą.
Szła piosenka z harcerzami,
ścieżynami i polami.
Szła jak młodość rozśpiewana,
w tej młodości rozkochana.

Lewa... lewa... raz dwa trzy.

Refren: Harcerska piosenka
igliwiem lasu pachnąca.
Harcerska piosenka
zapałem młodym płonąca.
Harcerska piosenka,
jak młodość, jak przyjaźń, jak kwiat.
Harcerska piosenka
szła z harcerzami przez świat.

Gdy spoczęła pod namiotem,
to sypnęła słońca złotem.
Przy ognisku piosnka mała
ciepłe iskry zapalała.
Orle pióra zaszumiały
i piosence wtórowały.

Lewa... lewa... raz dwa trzy.

Refren: Harcerska piosenka...

Gdy noc gwiazdy pogasiła
znów się piosnka obudziła.
W kroplach rosy się skąpała,
z harcerzami wędrowała.
Szła jak młodość rozśpiewana,
w swej Ojczyźnie rozkochana.

Lewa... lewa... raz dwa trzy.

Refren: Harcerska piosenka
igliwiem lasu pachnąca.
Harcerska piosenka
jak młode serce gorąca.
Harcerska piosenka,
w niej miłość i przyjaźń jak kwiat.
Harcerska piosenka,
w niej urok młodości lat.

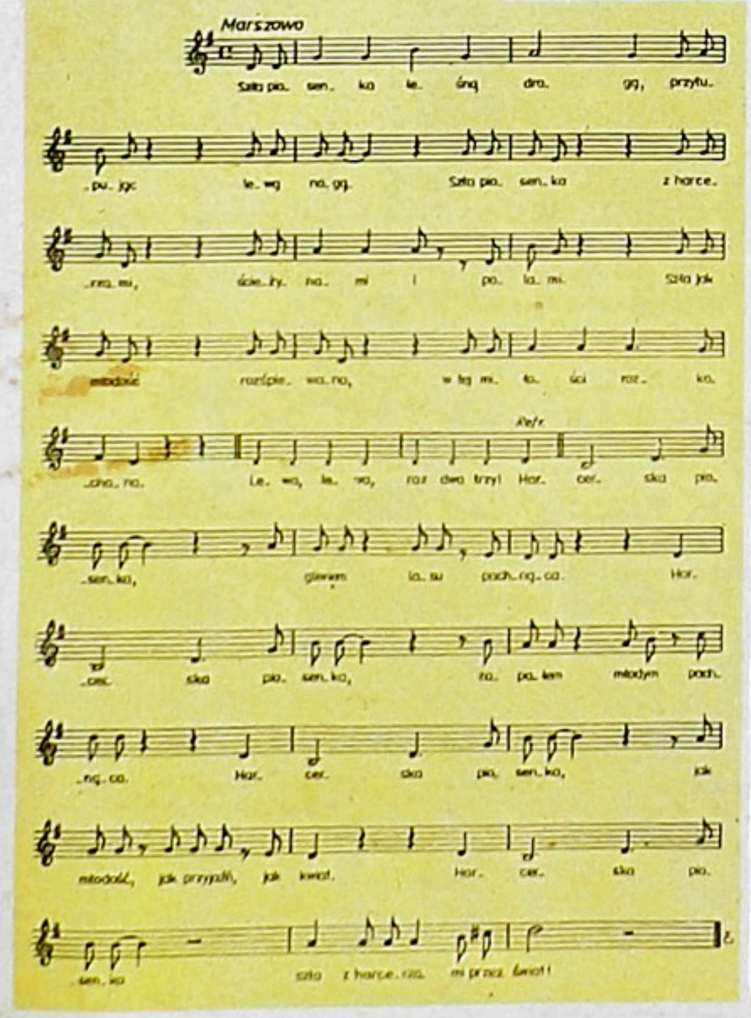

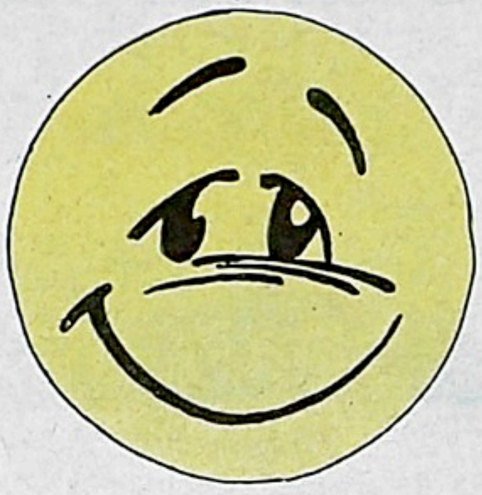

Nie spuszczaj nosa na kwintę.
Przyłącz się do nas — do pogodnych.
Pogodny nie załamuje rąk.
Pogodny nie traci głowy.
Boisz się nudy?
Zgłoś się do najbliższego Sztabu NAL!

Na stronie 3 — pogodni niezależnie od pogody!

Za 46 dni igrzyska...

SEOUL 1988

Rodem z Jamajki

Rekord świata w biegu na dystansie 100 m wynosi 9,85 sek. i należy do Kanadyjczyka Bena Johnsona (na zdjęciu). Ten znakomity biegacz (rodem z Jamajki) budową przypomina raczej ciężarowca i pod wieloma względami nie jest wzorem sprintera. Pozornie ociężały, po wyjściu z bloków startowych nienaturalnie prostuje sylwetkę i w trochę dziwny sposób pracuje rękami. Złośliwi twierdzą, że „wiosłuje powietrze". A jednak Kanadyjczyk w roku ubiegłym zwyciężył w plebiscycie na najlepszego sportowca świata.

Obecnie ma 27 lat. Jako ciekawostkę warto podać, że Ben Johnson stosuje dietę opartą na starochińskich wzorach. Czy pomaga ona w odnoszeniu tylu wspaniałych sukcesów — trudno stwierdzić. Przypomnijmy jeszcze raz, że kanadyjski superekspres z niesłychaną łatwością zwyciężył w „setce" podczas zimowych mistrzostw świata w Indianapolis i MŚ w Rzymie. Jest też najszybszym człowiekiem na dystansie 60 m (w hali) — 6,41 sek. i na otwartym stadionie. Panuje powszechna opinia, że w olimpijskim sprincie „złoto" może zdobyć tylko Johnson. On sam nic nie powiedział na ten temat. Może nie chce zapeszyć? **(zp)**

Fot. **archiwum**

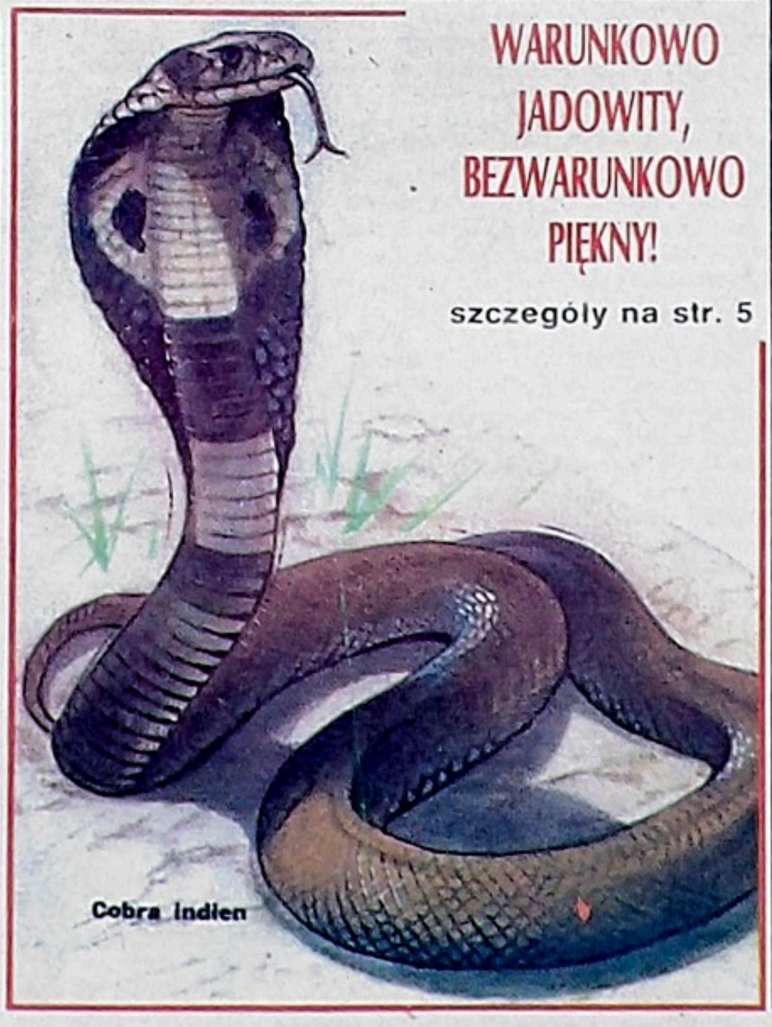

Cobra Indien

WARUNKOWO JADOWITY, BEZWARUNKOWO PIĘKNY!

szczegóły na str. 5

Byłeś... widziałeś... chcesz, aby inni zobaczyli to co Ty? — napisz do WIT-ka.

WIT-ek

● WIT-ek przekazuje zaproszenie na imprezy Festiwalu Kultury Beskidzkiej. Od 31 lipca do 7 sierpnia w Wiśle, Bielsku, Ujsołach, Makowie Podhalańskim, Szczyrku i Żywcu będzie hucznie, skocznie i jarmarcznie.

● W wielu maleńkich miejscowościach mieszkają ludzie o wielkich pasjach, niezwykli zbieracze, którzy udostępniają swoje zbiory turystom. Oto na przykład w Rybienku Leśnym koło Wyszkowa (woj. ostrołęckie) mieszka pan **Kazimierz Deptuła**, były marynarz, uczestnik słynnego konwoju do Murmańska i bitwy o Anglię. Pan Deptuła zbiera wszystko co morza dotyczy i tak w środku Polski, w osadzie wśród lasów powstało muzeum... morskie!

● Czwarty odcinek przewodnika „Od pomnika do pomnika" napisanego przez Michała Szarego *„warszawiaka z dziada pradziada, harcerza, turystę, historyka, lat 14 i pół"*. Dziś o pomniku szewca.

„Jedyny to chyba w Polsce pomnik szewca. Wprawdzie szewc ten wymachuje szablą, a nie kopytem, ale bo też jest to szewc-pułkownik, Jan Kiliński.

Statua walecznego rzemieślnika waży niemal dwie tony, a została odlana z przetopionych luf armatnich i ustawiona na cokole z granitu po rozebranym soborze. 19 kwietnia 1936 roku uroczyście, w obecności prezydenta miasta — Stefana Starzyńskiego odsłonięto pomnik na placu Krasińskich. I stał tam Kiliński do roku 1942, gdy gubernator Fischer kazał go zniszczyć w odwecie za zdjęcie przez Alka Dawidowskiego tablicy z pomnika Mikołaja Kopernika. (Na pomniku Kopernika Niemcy umieścili tablicę głoszącą, że Kopernik był wielkim niemieckim astronomem.)

Na rozlepionych rozporządzeniach niemieckiego gubernatora harcerze natychmiast dolepiali karteczki z doniesieniem:

»W odwet za niszczenie pomnika Kilińskiego zarządzam przedłużenie zimy o 6 tygodni — Mikołaj Kopernik, astronom«. Podobno rzeczywiście zima 1941/42 trwała aż do maja.

Pomnik Kilińskiego schowany został w piwnicach Muzeum Narodowego, o czym zawiadomił również Aleksy Dawidowski („Alek", „Kopernicki"), pisząc czarną farbą na murach Muzeum — »Ludu Warszawy, jam tu — Jan Kiliński«. Farby nie dało się zmyć i Niemcy zeskrobywali ją tak uparcie, że... uwieczrfili napis na długie lata.

Kiliński pod czułą opieką pracowników Muzeum Narodowego doczekał się wyzwolenia i już w 1946 roku wrócił wprawdzie na ceglany cokół, ale na stare miejsce. Dopiero od 1959 roku przeniesiono go w pobliże gmachów władz warszawskiego rzemiosła — podobno żeby doglądał interesu.

Stoi na ulicy Podwale, tuż przy staromiejskich murach..."

● Przed ponad 30 laty powstała myśl stworzenia Muzeum Wisły, przed czterema laty muzeum powstało (w Tczewie). Wtedy powstała idea powołania Towarzystwa Miłośników Wisły.

Narodziła się ta idea... *„w całej serii wędrówek wiślanych, w poszukiwaniu muzealiów i materiałów dla nowej placówki* — zwierza się kustosz Muzeum Wisły, **p. Roman Klim.** — *Bezpośrednie zetknięcie z majestatem Wielkiej Rzeki, jej różnymi stanami... historią, zabytkami i przyrodą jej doliny i dorzecza, sublimacją polskości jej brzegu — to wszystko było dla mnie wstrząsem i głębokim przeżyciem. Z drugiej strony, oglądając wspaniałe pomniki przeszłości, mówiące o wyjątkowej roli tej rzeki w naszej historii, bardzo mocno i boleśnie odczuwałem jej współczesną degradację..."*

W 1986 roku zarejestrowano Towarzystwo, zatwierdzono jego statut. Towarzystwo ma działać na rzecz zagospodarowania Wisły, ma się troszczyć o możliwie pełne zachowanie walorów przyrodniczych, szerzenie wiedzy o dziedzictwie kulturalnym, historycznym, przyrodniczym rzeki, kultywowanie tradycji ludowych w zakresie żeglugi, szkutnictwa, sztuki ludowej, programowanie turystyki wodnej.

REPORTER Świata Młodych

Skąd Twój ród?

Na zdjęciach:
1. Matka Jana w Rosji
2. Pamiątkowe zdjęcie wujka z wojska (1932 r.)
3. Rodzina Jana ze Związku Radzieckiego

Z rodzinnego albumu

Gdy słuchałam tej opowieści, łzy napływały mi do oczu. Ile oni przeżyli, ile bólu i cierpień znieśli, ile pracy włożyli w to, abyśmy mieli lepsze życie! Mojej prababci było ciężko. Sama wychowywała dwoje dzieci. Jej mąż zginął na wojnie, a kobiety niechętnie przyjmowano wtedy do pracy. Dopiero pewien bogaty Żyd ulitował się nad nią; ciężko harowała w polu. Tak zarobione pieniądze nie wystarczały jednak na wszystko, dlatego prababcia trudniła się sprzedażą mleka. Dużą pomoc okazał jej brat mieszkający w Stanach Zjednoczonych, gdyż co pewien czas przysyłał pieniądze.

Moja babcia Maria urodziła się w 1910 r. Gdy skończyła się I wojna światowa miała 8 lat. Pamięta, jak jechali kozacy, a ona z grupką dzieci prosiła ich o sól i cukier. W zamian za to ofiarowywały kozakom owoce i ziemniaki. Kiedy Maria dorosła, mogła pomagać

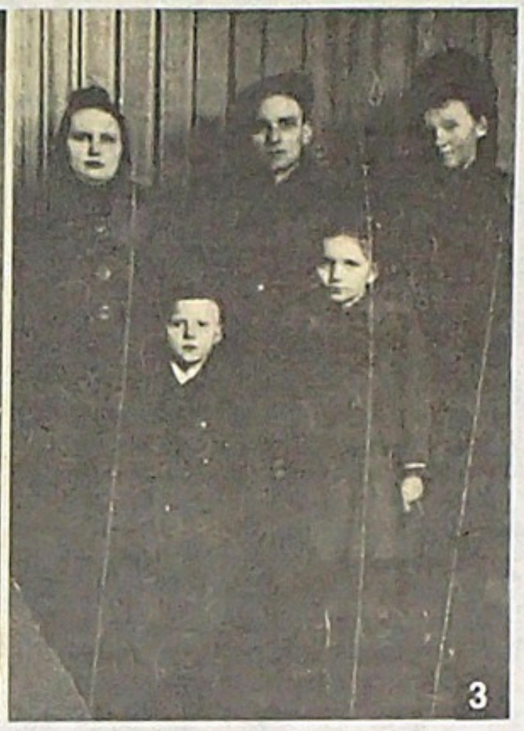

matce. Cieszyły się obie, że Polska jest już wolna, że naród wyrwał się spod jarzma zaborców. Wkrótce wrócił z USA wujek babci i sytuacja ich nieco się poprawiła. Chcąc zarobić na sukienkę czy buty Maria najmowała się do pracy w polu. Wieczorami chodziła z koleżankami na festyny organizowane w dużym parku. Nie mając pieniędzy często przekradały się od tyłu przez dziurę w siatce. Na jednej z takich zabaw poznała swego przyszłego męża — Jana. Przyjechał on ze Związku Radzieckiego, ale już od dawna mieszkał w Polsce, w Jarosławiu. Maria pokochała Jana, pobrali się. Szczęście ich trwało krótko, bo wybuchła II wojna światowa.

Małgorzata Wojcieszko

Władysław Górnikiewicz, mój pradziadek jako porucznik Wojsk Polskich w armii Hallera we Francji w 1919 roku

Dziadek był inżynierem w COP

Prawie wszystkie opisane zdarzenia związane są z Dziedzicami — miejscowością ze Śląska Cieszyńskiego, a w czasie zaborów — graniczną wsią zaboru austriackiego. Za Wisłą były już Prusy. Mój pra-pra-pradziadek, Józef Machalica, był wójtem owych Dziedzic w II połowie XIX wieku. Dzięki jego staraniom w 1855 roku zbudowano tam stację kolejową, na której budowę ofiarował własny grunt.

W 1866 roku, w czasie wojennych zamieszek granicznych między Austrią i Prusami, Prusacy przekroczyli Wisłę i wpadli do wsi, by ją splądrować. We wsi zastali tylko wójta, który nie zdradził, gdzie kazał ukryć się ludności i schować bydło. Został za to przywiązany do konia i wleczony aż pod Pszczynę. Został bardzo pobity, niedługo potem zmarł, osierocając trzech synków. Wnuczka bohaterskiego wójta, Amalia, wyszła za mąż za młodego nauczyciela z Krakowa. Był nim mój pradziad Władysław Górnikiewicz, który przyjechał do Dziedzic pod koniec XIX wieku, by razem ze swoimi kolegami szerzyć polskość. Dziedzice były ważną placówką polskiego ruchu narodowego na Śląsku Cieszyńskim. Mój pradziadek przygotowywał patriotyczne przedstawienia w teatrze amatorskim. W 1905 roku zorganizował Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół". Na wieść o wybuchu I wojny światowej utworzył z członków „Sokoła" kilkudziesięcioosobowy legion, który po uroczystym pożegnaniu 14 sierpnia 1914 roku na placu dworcowym w Dziedzicach wyjechał, aby walczyć o wolność Ojczyzny, do tworzącej się polskiej armii generała Józefa Hallera we Francji.

Mój dziadek Zbigniew Górnikiewicz mógł kontynuować naukę już w wolnej Polsce. Ukończył politechnikę we Lwowie i jako inżynier pracował przy budowie Centralnego Okręgu Przemysłowego w latach trzydziestych.

Wojciech Dastych

Chleba szukali w obu Amerykach

92 lata temu, w ubogiej kolejarskiej rodzinie, mieszkającej w Żywcu-Zabłociu, a wywodzącej się z chłopstwa, urodził się mój pradziadek, Szczepan Gowin. Był najstarszy spośród sześciorga rodzeństwa.

Pomiędzy dziećmi były małe różnice wiekowe, więc nosiły jedną parę butów na zmianę, bo jakże rodzice, którym ledwo starczało na podstawowe środki do życia, mogliby sobie pozwolić na tak wielki wydatek, jakim było kupienie sześciu par obuwia? Ojciec pradziadka miał bardzo dobrą opinię jako pracownik kolei, dlatego, gdy jego trzej synowie dorośli, udało mu się znaleźć dla nich pracę w kolejnictwie. I w ten sposób pradziadek został kolejarzem.

W 1914 roku wybuchła I wojna światowa. Osiemnastoletni Szczepan Gowin walczył na froncie w mundurze austriackim (jako, że Żywiec był w tym zaborze). Zapewne był dzielnym żołnierzem, skoro wysłużył sobie stopień kaprala. Wojna skończyła się i pradziadek powrócił do pracy w kolejnictwie. Przyjęto go na stałą posadę konduktora, gdyż brał udział w wojnie, a także wcześniej był solidnym i cenionym pracownikiem. Poznał córkę biednych rolników z Pietrzykowic (wsi przyległej do Żywca), moją prababcię — Stefanię Piątek. Prababcia wywodziła się z jeszcze uboższej rodziny niż pradziadek, dlatego jej ojciec w 1912 roku wyemigrował do Argentyny. Próbował ściągnąć tam rodzinę, ale mama prababci nie chciała jechać, zapewne bojąc się długiej podróży. Nakłaniała więc męża, by zarobił pieniądze i wrócił do Polski. Jednak po dwóch latach otrzymała wiadomość, że mąż zaginął. Cóż miała robić biedna kobieta mająca czworo dzieci? Zaczęła pracować w żywieckiej fabryce papieru „Solali", a dzieci oddała na służbę w gospodarstwie u bogatszej rodziny. Tak więc prababcia podobnie jak pradziadek — od dzieciństwa żyła w biedzie i musiała ciężko pracować. Oboje pragnęli stworzyć rodzinę, w której będzie dostatek, wychować swe dzieci na dobrych ludzi i mieć własny dom. Te wspólne dążenia złączyły ich i w 1923 roku wzięli ślub. Ponieważ zarobki pradziadka były dostatecznie wysokie, prababcia nie musiała pracować zawodowo, zajmowała się wychowaniem córki Anieli (mojej babci), która urodziła się w 1924 roku. Zamieszkali we własnym domu oraz uprawiali odziedziczone przez prababcię niewielkie pole. Pradziadkowie troszczyli się o wykształcenie mojej babci, która po ukończeniu szkoły powszechnej rozpoczęła naukę w gimnazjum.

Nie zdołała jednak ukończyć szkoły średniej, bo wybuchła II wojna światowa. W czasie okupacji pracowała w sklepie, a pradziadek nadal na kolei, gdyż ludzie w jego wieku nie byli brani na przymusowe roboty. Prababcia nadal była gospodynią domową. Gdy pradziadek umarł, prababcia pomagała swej, także owdowiałej, córce (mojej babci), która miała czworo dzieci (m.in. i mojego tatę), a także pracowała zawodowo. Dużo sił włożyła w wychowanie swych wnuków. Tata mówi nawet, że była dla niego drugim ojcem. Myślę, że te słowa są bardzo wymowne.

Nieco inaczej potoczyły się losy moich pradziadków od strony mamy. Pradziadek, Jan Kowal, był synem średnio zamożnego rolnika z Wińczej Woli, wsi w powiecie kolbuszowskim (okolice Sandomierza). W dzieciństwie pracował wraz z rodzicami w gospodarstwie. Gdy był już młodym mężczyzną został wcielony do armii austriackiej. Po odbyciu służby wojskowej (ok. 1902 roku) postanowił wyjechać do Stanów Zjednoczonych, chcąc zarobić pieniądze, aby lepiej żyć, tzn. nie być ciężko harującym chłopem, a bogatym gospodarzem. Osiedlił się w Port Richmond; był pracownikiem fizycznym. Zapewne nie przewidział, że pozna tam, też pracującą fizycznie, młodą emigrantkę z Polski — Franciszkę Sanetrę, półsierotę, która wraz z matką i czworgiem rodzeństwa przybyła do Stanów Zjednoczonych z Żywca. Matce ciężko było zapewnić byt licznym dzieciom, tym bardziej, że jej mąż — robotnik, zmarł jeszcze wtedy, gdy były bardzo małe. Jan Kowal ożenił się z Franciszką Sanetrą, a w 1919 roku przyszedł na świat mój dziadek, Józef, jako ich pierwsze dziecko. Ponieważ w USA rozpoczął się kryzys, pradziadkowie stracili pracę. W tej sytuacji jedynym ratunkiem był powrót do Polski. Zapewne za namową prababci zamieszkali w jej rodzinnym mieście — Żywcu. Za pieniądze zarobione w Ameryce (nie mieli ich wprawdzie dużo) kupili działkę w Zabłociu, na której po niedługim czasie stanął mały, drewniany dom. Pradziadek zaczął pracę jako pomocnik drukarza w żywieckiej papierni, prababcia zajęła się domem i dziećmi, jako że w 1921 roku urodził się drugi syn, Henryk, a trzy lata później córka Maria. Gdy dzieci nieco podrosły, pradziadkowie wysłali je do szkoły, bo chcieli, by zdobyły wykształcenie.

Mój dziadek Józef oprócz szkoły powszechnej ukończył zasadniczą szkołę zawodową w Żywcu i to nawet z wyróżnieniem — otrzymał nagrodę w postaci dziesięciu złotych wpłaconych na książeczkę oszczędnościową. Pieniądze miał odebrać po roku, ale wybuchła wojna i nie zostało po nich ani śladu... Dziadek stracił nagrodę, ale miał zawód

Prababcia Stefania Gowin

Pradziadek Szczepan Gowin w mundurze kolejarskim

stolarza, którego nikt mu zabrać nie mógł. Jego młodszy brat Henryk też ukończył szkołę zawodową i został specjalistą instalacji wodno-kanalizacyjnych. Najmłodszej Marii wojna nie pozwoliła zdobyć zawodu. W czasie okupacji trójkę rodzeństwa Niemcy wywieźli na przymusowe roboty. Pradziadkowie zostali w Żywcu i zajmowali się tym, czym przed wojną.

Szkoda, że już nie żyją, bo ze wspomnień dziadka wywnioskowałam, że byli bardzo dobrymi ludźmi. Moja mama była ulubioną wnuczką Franciszki Kowal, a i sama niezmiernie ją kochała. Często też opowiada, jak objadała się owocami ze wspaniałego sadu, który pielęgnował pradziadek.

Chciałabym, opisując życie pradziadków, podziękować im za to, że byli pracowitymi, uczciwymi ludźmi, dbającymi o wychowanie swych dzieci. Jest to niemożliwe, bo nie ma ich już wśród żywych. Niech jednak zostanie jakiś ślad, że o nich pamiętam, w postaci tych ciepłych słów w naszej gazecie...

Agnieszka z Żywca

REDAKCYJNA POCZTA

Komu przeszkadza moda mini?

Mam 15 lat. Postanowiłam napisać w sprawie (która mnie dręczy) mini. Sama bardzo lubię chodzić „na bardzo krótko" i moim zdaniem nie powinno to nikomu przeszkadzać. Najgłupiej zachowują się dziewczyny: słyszę niemądre „dogryzki", śmiechy. Moim zdaniem, jeśli dziewczyna ma zgrabne nogi oraz lubi chodzić w mini, powinna w nią wskoczyć i puszczać mimo uszu co o niej mówią. Może ktoś zechce napisać i odpowiedzieć na moje pytanie: Dlaczego niektórzy tak krzywo się patrzą na dziewczynę w mini?

„Diana"

O książkach

Niech ten tytuł Was nie odstrasza. Chociaż są wakacje, chciałabym zachęcić wszystkich rówieśników do czytania lektury. Zapewne wielu z Was powie, że książka (nawet przygodowa) nadaje się do czytania tylko w czasie roku szkolnego. Zaprzeczam! Myślę, że czytając książkę można się nieźle zabawić. A co to za przyjemność leżeć np. na morskiej plaży, wcinać pyszne ciastko i czytać książkę.

Wielu uczniów nawet w roku szkolnym nie przeczyta książki. Biorę tutaj za przykład naszą klasę. Uczniowie nie czytają książek z biblioteki (niektórzy — nawet lektur) mówiąc, że to strata czasu. Moim zdaniem nie czytając lektury, nie wzbogacamy naszej wiedzy, a nawet cofamy się (umysłowo). Czyżby zaczęła panować moda na głupotę? W naszej klasie jest 2–3 uczniów, którzy czytają 80–90 książek w roku szkolnym, a są tacy, którzy przeczytają 1–4, takich jest 98%.

Margaret P.

PS. Z całego serca dziękuję redakcji za wydrukowanie moich dotychczasowych (i chyba nie ostatnich) listów. Dzięki temu stałam się śmielsza. Zarazem proszę o wydrukowanie tego, ponieważ ta sprawa nie wydaje mi się błaha. Dziękuję.

Przyjaźń na wakacje

Cześć, „niebieska deseczko"! Mam 14 lat i prawie zawsze dobry humor. Mój list chciałabym skierować szczególnie do dziewczyn i chłopaków zakochanych w piosenkarzach, aktorach itp. Wierzcie mi, wiem co to znaczy, bo podoba mi się Krzysiek Antkowiak. Do niedawna jego piosenek słuchałam godzinami i nawet napisałam do niego list. Na odpowiedź czekałam tydzień (oczywiście nie przyszła), ale po przeczytaniu (nr 75 „ŚM" str. 6) zrozumiałam, że wygłupiłam się z tym listem. Takich jak ja jest przecież wiele. Nadal chciałabym poznać Krzyśka, ciągle słucham jego piosenek, ale to już nie to co dawniej. Wiem, że nie dostanę odpowiedzi na mój list do niego i wielu z Was też nie doczeka się spełnienia swych marzeń!

Wiara! Nie martwcie się, są WAKACJE! Przed nami wiele nowych znajomości i przyjaźni! Oczywiście nikt nie każe otrząsać się nam z marzeń, ale pamiętajcie, że lipiec i sierpień to dwa najcudowniejsze miesiące, podczas których nie można (i nie warto) tylko marzyć! A może Waszą pierwszą wakacyjną przyjaciółką zostanę ja?! Piszcie do mnie, czekam! **Aga Nyka,**

Uwaga, Aga, uwaga, Edyta Ambroziewicz z Piły oraz wiele, wiele innych czytelniczek. Prywatnego adresu Krzysztofa Antkowiaka nie znamy. Dla wielbicielek talentu Krzysia Antkowiaka mamy jednak miłą wiadomość: powstał już fan-club tego piosenkarza. Oto adres, pod który możecie pisać: Fan-Club Krzysztofa Antkowiaka.

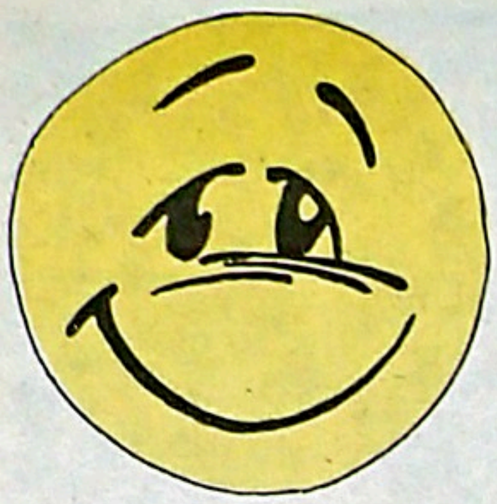

Kolekcjonuj!

Nie tylko przedmioty, ale i żarty, powiedzonka, zachowania ludzi, nieporozumienia między nimi, przejęzyczenia, śmieszne historie, które zdarzyły się Tobie i innym, niezwykłe nazwy, zaskakujące napisy, oryginalne tytuły z gazet, teksty reklam, ogłoszeń i transparentów, które wpadną Ci w oko, hasła wyróżniające się głupotą albo niebanalnością, niezręcznie sformułowane przepisy itd., itp.

Notuj! Artysta bez notesu jest jak komputer bez pamięci.

KTO TO JEST SATYRYK?

Człowiek, który widzi wszystko to, co inni, ale dużo wyraźniej, ostrzej, a mimo to nie narzeka, wręcz przeciwnie, to go strasznie śmieszy. Zaciera ręce i wszystko co widzi — opisuje lub rysuje. I tym nas ogromnie bawi, choć w życiu często nam nie do śmiechu.

Satyryk daje nam do myślenia, podsuwa nam skojarzenia. Satyryk nie tylko śmieszy. On przejmuje się wszystkim, co powinno być zmienione. Zwraca nam uwagę. Portretuje rzeczywistość i ludzi z przymrużeniem oka — i liczy na to, że wyciągniemy z tego mądrą naukę.

Teleturniej encyklopedyczny

„Teleturniej" dlatego, że w tę grę bawili się przed laty w telewizji Zofia Nasierowska i Eryk Lipiński ze swymi drużynami. A „encyklopedyczny" dlatego, że grającym potrzebna będzie encyklopedia albo słownik wyrazów obcych.

Towarzystwo dzielimy na dwie drużyny. Kapitan jednej z drużyn wyczytuje z encyklopedii jakiekolwiek — byle trudne! — hasło i „namawia się" ze swoimi ludźmi: każdy z nich ma podać przeciwnikom inne znaczenie tego hasła, a oni muszą odgadnąć, które z wymienionych znaczeń jest prawdziwe. Drużyny zgadują na zmianę, wygrywa ta, która więcej odgadnie. Oczywiście najlepiej gdy hasła są mało popularne i z niczym się nie kojarzą, wtedy trzeba strzelać na ślepo.

Jak wspomina Eryk Lipiński, w telewizji zawsze zwyciężała drużyna Zofii Nasierowskiej, która jako portrecistka (w fotografii) musi być świetnym psychologiem i bezbłędnie odgadywała kto mówi prawdę.

Zagadka

Jak z tego półtuzina jedynek zrobić tuzin?

1 1 1 1 1 1

(Rozwiązanie w numerze)

Autorem rysunków na tej stronie jest ERYK LIPIŃSKI

Najlepszy kawał

Najlepszy kawał udał mi się całkowicie bez mego udziału. Otóż pewnego dnia zadzwoniono z ambasady ZSRR do Jerzego Jurandota że przyjechał jakiś radziecki satyryk, chce koniecznie poznać Jurandota i jego żonę Stefanię Grodzieńską i wobec tego zaprasza ich na jutro do ambasady.

Kiedy Jurandot zaproszenie przyjął i odłożył słuchawkę, Stefania, jako osoba trzeźwo myśląca, oświadczyła: — Dałeś się nabrać, ambasada jak zaprasza, przysyła to na piśmie, to na pewno kawał Eryka, ale nas nie oszuka i nigdzie jutro nie pójdziemy, bo tylko się ośmieszymy.

I nie poszli. A na drugi dzień sekretarz ambasady zadzwonił ze smutkiem: Nu, panie Jurandot, my na was czekali, a wy nie przyszli...

Wściekli Jurandotowie zadzwonili do mnie z wyrzutami.

(Eryk Lipiński „Moje małe życie")

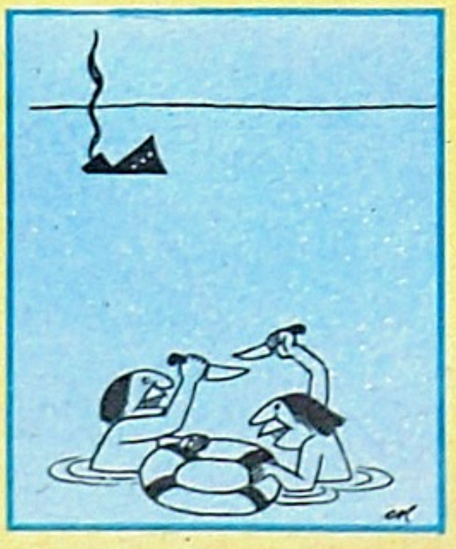

Co tydzień konkurs

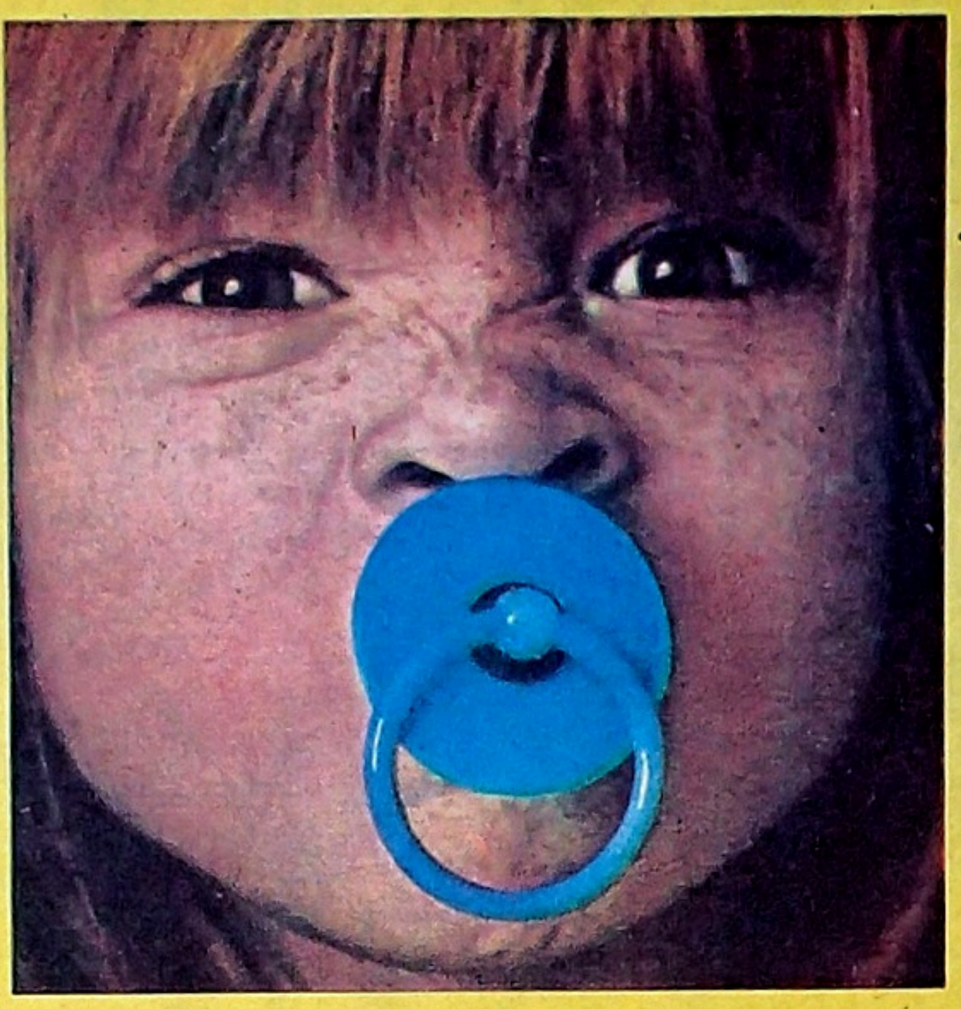

Satyrycy na start!

Masz tylko tydzień czasu. Do 9 sierpnia (decyduje data stempla pocztowego) nadeślij odpowiedź na pytanie:

CO MNIE NAJBARDZIEJ ROZŚMIESZYŁO?

Odpowiedź ma być oczywiście jak najdowcipniejsza, żebyśmy i my się pośmiali. Chodzi o wydarzenia, scenki, przygody, psikusy, jakiś zabawny napis przy drodze, a nawet... idiotyczne zarządzenie — wszystko wzięte z życia.

Możesz to opisać albo narysować — zależy w jakiej formie wolisz przekazać swoje obserwacje.

Na pewno są wśród Was przyszli satyrycy i karykaturzyści. Dla najlepszego — za najśmieszniejszy obrazek lub tekścik, zdradzający umiejętność obserwacji i podchwytywania komicznych stron życia — Eryk Lipiński ufundował główną nagrodę — swój rysunek. Pozostałym dobrym rozśmieszaczom i podglądaczom śmiesznostek nagrody fundujemy my.

Na konkursową przesyłkę naklej ten kupon:

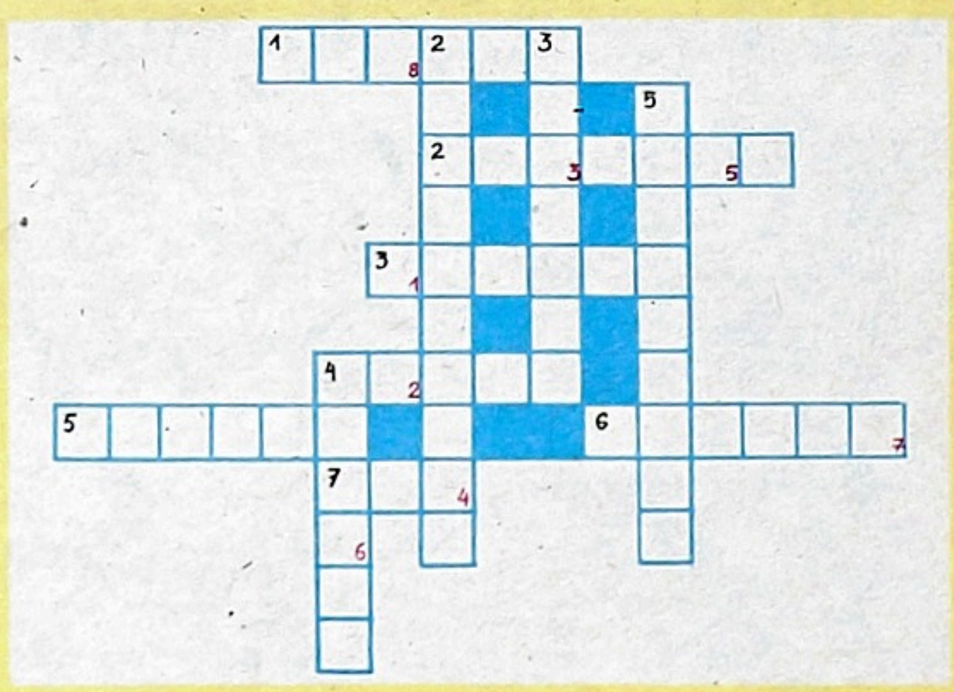

Krzyżówka niezupełnie ortograficzna

Wyhasałeś się? Przez chwilę nie masz pomysłu co ze sobą zrobić? Rozwiązałeś już wszystkie zadania i łamigłówki z sobotniego numeru „ŚM"?

Przecież sam możesz je układać!

Drukujemy krzyżówkę, którą nadesłała nam **Kasia Paliwoda z Wrocławia**. Rozwiązanie — dokończenie hasła znajdziesz w numerze. Ale — **UWAGA! Kasia przez roztargnienie zawarła w tej krzyżówce błąd ortograficzny! Kto go złapie i poinformuje nas o tym jak najszybciej — dostanie nagrodę-niespodziankę (tylko jedna osoba, której kartka dojdzie pierwsza).**

Sądzimy, że dobrą zabawą może być też uzupełnienie tej krzyżówki tak, aby diagram tworzył kwadrat lub prostokąt.

A przy okazji podpowiadamy: komu znudziło się pisanie „zwykłych" listów miłosnych, może układać listy w formie krzyżówek, zagadek, rebusów, itp. Takie zaszyfrowane wyznania mają specjalną moc!

POZIOMO: 1. na głowę, 2. często służy za nos u bałwana, 3. pracowity owad, 4. Marianna dla dobrych znajomych, 5. okrągła, zamykana na klucz, 6. niepopularne już imię męskie, ale popularny święty, 7. po uderzeniu na głowie

PIONOWO: 2. południowy owoc, 3. zastępuje szpilkę lub odwrotnie, 4. przyciąga żelazo, 5. odgłos u śpiącego

HASŁO (z liter oznaczonych kolorowymi cyframi): Czy Małgosia, czy też Żenia, każde dziecko ma 1 2 3 4 5 6 7 8.

Myśli szczerozłote

- *Im kto ma większe poczucie humoru, tym większe musi mieć poczucie taktu.*
- *Szczyt taktu: krytykować, nie wywołując niechęci.*
- *Baw towarzystwo raczej własnymi niż cudzymi wadami.*
- *Kto pierwszy z siebie się zaśmiał, ten zapobiegł ośmieszeniu się.*

Stefan Garczyński

- *Gdy nie masz nic do ofiarowania, ofiaruj uśmiech.*

(przysłowie chińskie)

- *Przyjaźń podwaja radości, a o połowę zmniejsza przykrości.*

Francis Bacon

- *Rana od bata zagoi się, od języka — nigdy.*

(przysłowie kałmuckie)

- *Wziąwszy — pamiętaj! Dawszy — zapomnij!*

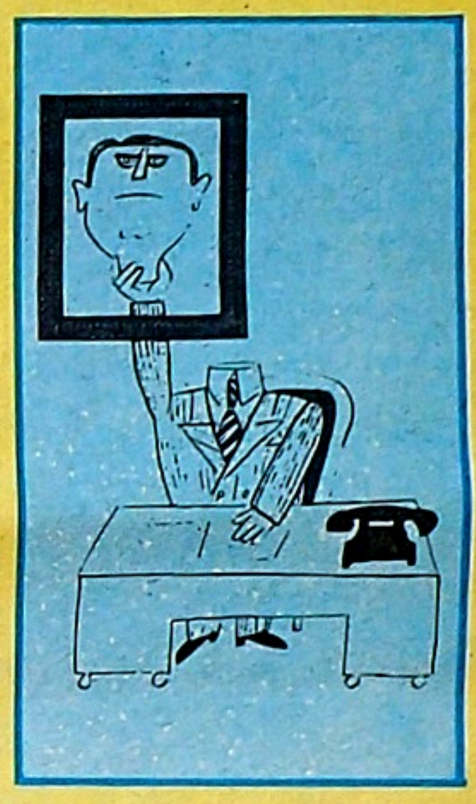

RYMY

W bardzo dawnych i strasznych czasach, gdy nie było jeszcze telewizji (co przecież jednak zdarza się i dziś podczas wakacji) wymyślano różne zabawy towarzyskie, o których już się powoli zapomina, jak głuchy telefon, inteligencja itp. Niektóre z nich mogą nam się przydać!

Kiedyś w gronie z przewagą literatów, wśród których królował Tuwim — wspomina Eryk Lipiński — ktoś zaproponował żartobliwy turniej poetycki. Uczestnicy mieli znaleźć najlepszy rym do słowa „szczupak". Wygrał Tuwim rymem „szczupak — ciupag".

Spróbujcie i Wy pobawić się w wynajdywanie rymów.

Można też w rymy bawić się inaczej. Na przykład wymyślić pary rymów, do których towarzystwo ma ułożyć wiersze, z większym lub mniejszym sensem, byle do śmiechu.

Albo jeszcze inaczej. Jedna osoba bierze tom poezji, oczywiście nie współczesnej, tylko klasycznej, może to być choćby „Pan Tadeusz" albo inny poemat, czy wierszowane „Bajki" Fredry — w każdym razie utwór o wyraźnym rytmie i regularnych rymach. Wybiera fragment i czyta go głośno — ale tylko do miejsca, gdzie ma nastąpić rym. Ten rym musi podać następna osoba, potem kolejny rym — kolejna i tak dalej. Kto się pomyli, nie odgadnie rymu zgodnego z oryginałem — ten przejmuje książkę i teraz on czyta na głos, a pozostali zgadują.

POLONIA RADZIECKA W POLSCE

Takie kolonie zorganizowano po raz pierwszy. Inicjatorem — jak zwykle przy kontaktach z Polonią — jest Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" oraz Ministerstwo Edukacji Narodowej. Ono właśnie finansuje wszystkie kolonie dla dzieci poznających kraj swoich ojców i dziadków (a w tym roku jest ich 1200 rozlokowanych w 26 ośrodkach na terenie całej Polski).

1

2

Z Zakaukazia, Litwy i Ukrainy...

centrem wileńskim, lwowskim, rosyjskim, lub po prostu — rosyjski. Najwcześniej do Kijan przybyła grupa ze Lwowa, potem przyjechała młodzież z Kijowa, Wilna i innych miast radzieckich.

Magda Mowsejan wraz ze starszą, 14-letnią siostrą Gajaną (a także z mamą, która ma rodzinę w Warszawie) przyjechały aż z Zakaukazia, ze stolicy Armenii — Erewania. Tata jest Ormianinem, mama Polką. Rodzina Mowsejanów często bywa w Polsce, a Magda i Gajena mówią w trzech językach: po polsku, po ormiańsku i po rosyjsku. Chodzą do szkoły z językiem rosyjskim i ormiańskim, po polsku rozmawiają między sobą. Czytają dużo polskich książek, znają historię Polski i ojczyzny ich ojca — Armenii.

Magdalena Pabich urodziła się we Wrocławiu i jako półtoraroczne dziecko wyjechała z rodzicami nad Wołgę do Togliatti. Ojciec jest Rosjaninem. Teraz Magdalena z dumą opowiada o mieście nad Wołgą, słynącym z przemysłu chemicznego i wielkiej fabryki samochodów, którą wielokrotnie zwiedzała. Magda również często bywa w ojczyźnie swojej mamy („i mojej również" — podkreśla — „bo przecież urodziłam się we Wrocławiu i bardzo go lubię"), ale z językiem polskim ma pewne kłopoty, co nie może dziwić, skoro w szkole, sklepie czy na ulicy Togliatti słyszy się wyłącznie język rosyjski.

Natomiast 12-letnia Julia Morduchowicz i w rodzinnym domu mówi po rosyjsku, chociaż jej mamusia jest Polką... Wszystko, co wie o Polsce, Julia zawdzięcza swojemu tacie. Jest on lekarzem rentgenologiem w szpitalu nr 11 w Doniecku na Ukrainie. W Kijowie, gdzie była wyznaczona zbiórka dla wyjeżdżających z tego regionu do Polski, poznała Anię i Allę, razem jechały 18 godzin pociągiem z wychowawczynią Olgą. W Kijanach mieszkają w tym samym pokoju. Wszystkie trzy bardzo tęsknią za domem. Julia dodatkowo tęskni jeszcze za swoim „dieduszką". Martwi się, jak on sobie radzi. Jest osamotniony po śmierci babci i Julia często go odwiedza, sprząta mu mieszkanie, robi zakupy. Dziadkowi nigdy nie było dane wyjechać za granicę, a Julia już jest w Polsce drugi raz! Bardzo chce się nauczyć polskiego, a ponieważ jest pilną uczennicą (pragnie być nauczycielką w młodszych klasach) i uważnie słucha, więc robi widoczne postępy.

Z niecałej setki przybyłych z ZSRR (chłopców jest mniejszość, dlatego w Kijanach utworzono 4 kolonijne grupy dziewcząt i tylko 2 chłopców) poznałam zaledwie kilka dziewcząt. Towarzyszyłam im podczas wycieczki z Warszawy, gdzie spędzały 3 dni, do Żelazowej Woli. Większa grupa kolonistów zwiedzała Kraków. Potem tamci przyjadą do Warszawy, a grupa „warszawska" pojedzie do Krakowa. W planie jest wiele wycieczek: Kazimierz nad Wisłą, Nałęczów, Zamość, a cała kolonia była już w Lublinie i Majdanku.

3

Odniosłam wrażenie, że kolonistki jeszcze się nie oswoiły z pobytem w Polsce. Mimo wycieczek i wspólnych zajęć (nauka języka, tańców, piosenek) dziewczęta nie nawiązały przyjaźni. Zwykle potrzeba na to sporo dni i ten czas wkrótce nadejdzie. Kolonie trwają cztery tygodnie. Jestem pewna, że lody zostaną przełamane i popłynie kilka łez podczas pożegnań i odjazdów. Niejeden list powędruje z pewnością znad Wilii nad Wołgę, znad Wieprza do Doniecka. Niejedno zapomniane polskie słowo czy świeżo poznana piosenka zagości na stałe w domu w Togliatti, Doniecku, w Żytomierzu. Na razie poznają historię i kulturę Polski, przyglądają się pejzażowi naszych wiosek. Alla ze zdziwieniem spogląda na wąsko pocięte zagony żyta i ziemniaków. Zupełnie inaczej wyglądają niż olbrzymie kołchozowe pola na Ukrainie.

Na zdjęciach:
1. Ania, Alla i Julia podczas przejażdżki wiślanym statkiem
2. Program był bardzo bogaty, na zwiedzanie Muzeum Techniki w Pałacu Kultury i Nauki zostało niewiele czasu
3. Na wewnętrznym dziedzińcu Domu „Polonii" przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie

Z każdego polonijnego ośrodka kolonijnego przyjadą do Warszawy trzyosobowe ekipy, by wziąć udział w konkursie pt. „Ojczyzna moich przodków". Odbędzie się on w Towarzystwie Łączności „Polonia" w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu. Z Kijan także przyjedzie taka trójka. Będą oczywiście nagrody, ale największą zdobyczą dla wszystkich pozostaną wrażenia z Polski zawiezione do ZSRR.

ANNA GRZYBOWIECKA
Fot. **Marek Szymański**

PRAWIDŁOWY CIOS W GŁOWĘ

Wiraże współczesnego sportu

„Cios jest zasadniczym elementem walki bokserskiej. Cios jest wówczas prawidłowy, jeżeli jest zadany przednią częścią rękawicy, oznaczoną często białym pasem, w określone regulaminem miejsce trafień przeciwnika. Rozróżnia się trzy rodzaje ciosów: proste, sierpowe i z dołu." Tyle o ciosie mówi „Mała encyklopedia sportu". Od siebie dodajmy, że jednym z regulaminowych miejsc trafień rywala jest jego twarz...

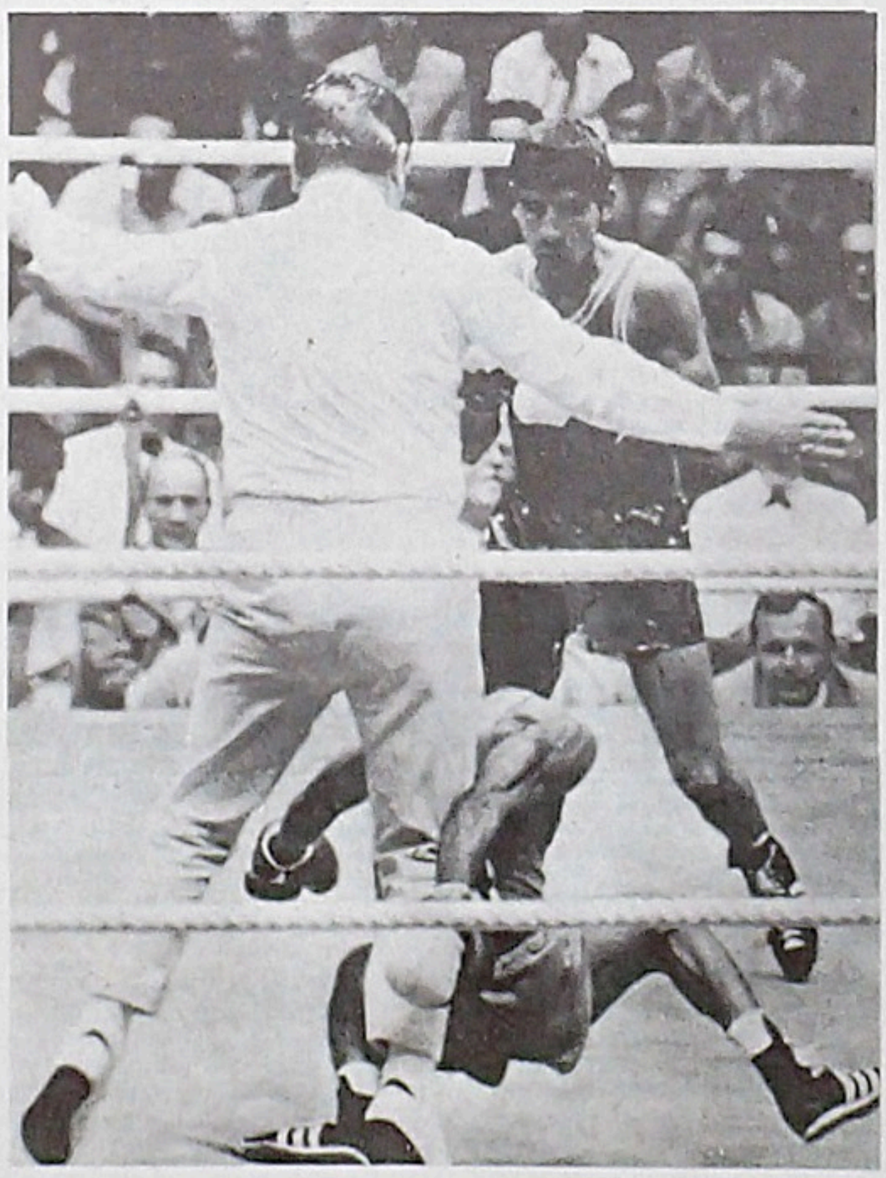

Cassius Clay (drugie nazwisko Muhammad Ali) ma 46 lat. Był tzw. cudownym dzieckiem ringu. Jako nastolatek łatwo rozprawiał się ze starszymi od siebie pięściarzami i najczęściej walki kończył długo przed ostatnim gongiem. Szybko awansował więc do amatorskiej reprezentacji USA, która przygotowywała się do startu w igrzyskach — 1960. 18-letni Cassius zdobył olimpijską nominację i wyjechał do Rzymu. Przez eliminacje, ćwierć- i półfinał przebrnął bez trudu. Dopiero w bezpośredniej walce o „złoto" (ze Zbigniewem Pietrzykowskim) zmuszony został do maksymalnego wysiłku. Ale stanął na najwyższym podium olimpijskim, co było idealną przepustką do wejścia w krąg boksu zawodowego. Tam czarnoskóry zawodnik zdobył cztery razy tytuł mistrza świata wszechwag i wiele milionów dolarów. Po raz ostatni stanął na ringu zaledwie osiem lat temu. I przegrał.

Wtajemniczeni twierdzą, że Clay nie miał już żadnych szans na sukces. Jego organizm przypominał raczej pozbawiony załogi żaglowiec. Larry Holmes, ostatni przeciwnik byłego championa, doskonale wiedział o jego kiepskim zdrowiu i wcale nie wysilał się. Inaczej widowisko przybrałoby bardziej żałosny dla Claya koniec. Eks-mistrz i tak nie pamięta tego pojedynku. Nie pamięta także wielu innych zdarzeń. Jest bardzo ociężały, stale odczuwa zimno w rękach i stopach, żyje raczej w świecie urojonym, rzadko potrafi mówić całymi zdaniami. Drżenie kończyn zdradza początki choroby Parkinsona. 30 lat boksu musiało zrobić swoje. Zwłaszcza te ciosy w głowę. Obliczono, że przeciętnie w każdej rundzie otrzymał ich „tylko" dwa. A stoczył 1500 rund. Na jego głowę spadło zatem 3000 uderzeń! I nie były to lekkie uderzenia...

Opisany powyżej przykład jest może skrajny, ale nie odosobniony. Bokserzy, zwłaszcza zawodowi, często odczuwają skutki swoich walk. Mówiąc wprost, są to skutki uszkodzenia centralnego układu nerwowego, mózgu. Wielokrotne uderzenia w głowę doprowadzają bowiem do zaniku komórek mózgowych, a więc ciężkich obrażeń, a nawet śmierci pięściarza. I każdy nokaut, kórzy tak często ogląda się na ringach, może być początkiem zbliżającej się tragedii.

Boks może więc smakować gorzko. Nie wszyscy wiedzą, że nasz mistrz olimpijski w pchnięciu kulą, Władysław Komar, swoją sportową przygodę zaczynał od pięściarstwa. Był nawet w reprezentacji Polski juniorów. Ale porzucił tę dyscyplinę bez cienia żalu; po jednym z pojedynków dwumetrowy prawie olbrzym obudził się na... szpitalnym łożu. Na szczęście było to tylko lekkie zamroczenie. Gorzej przedstawiała się sprawa z Grzegorzem Skrzeczem. Wprawdzie dotrwał do ostatniego gongu w walce ze Szwedem Hakkanem Brockem, ale w chwilę później potrzebna już była natychmiastowa interwencja lekarzy. Uraz, jakiego doznał nasz świetny pięściarz, okazał się nie tak groźny, jak początkowo przypuszczano. Nie doszukano się pod czaszką krwiaka, ale jej podstawa została naruszona. Polak doznał też wstrząsu mózgu.

Ktoś może zapytać, a gdzie w trakcie walki Skrzecza byli lekarze, sekundanci, sędziowie? Dlaczego dopuścili do tak poważnych uszczerbków na jego zdrowiu? Dlaczego nie przerwano pojedynku?

Nie stało się to dlatego, bo walka przebiegała zupełnie normalnie. Obaj bokserzy „wymieniali" między sobą ciosy, obaj podziękowali sobie za rywalizację. Nikt z obecnych na sali nie był w stanie dostrzec, że nadchodzi tragedia.

Pięściarstwo jest sportem dla ludzi wyjątkowo twardych, odpornych, mocnych. I powiedzmy prawdę — niebezpiecznym. Dlatego też AIBA (Międzynarodowa Federacja Boksu Amatorskiego) za wszelką cenę dąży do zlikwidowania źródeł niebezpieczeństwa. Przed laty oznakowano białym pasem rękawice — aby sędziowie łatwiej mogli ocenić prawidłowość zadawanych ciosów i w porę zdyskwalifikować pięściarzy uderzających niezgodnie z regulaminem. Wprowadzono też kaski ochronne, co łagodzi siłę otrzymywanych w głowę ciosów i zapobiega kontuzjom łuków brwiowych. Obniżono górną granicę wieku przy dopuszczaniu do uprawiania boksu. Stwierdzono bowiem, że ryzyko groźnych urazów wzrasta z liczbą stoczonych walk i wiekiem zawodnika.

Amatorzy na pięściarzy są obecnie wnikliwie badani nie tylko przez doświadczonych lekarzy, ale również przez komputery. Wszystko to jednak może zdać się psu na budę, kiedy nie przerwie się dotychczasowego pasma nokautów, w porę nie wycofa bitego przez rywala zawodnika. I to nawet wówczas, kiedy ringowy sędzia sam nie chce tego uczynić. Inaczej „choroba bokserska", znana głównie wśród staczających 15-rundowe pojedynki zawodowców, rozprzestrzeni się także w gronie amatorów. Oni także dysponują coraz silniejszym ciosem; prawidłowo wykonany w głowę rywala może uczynić z niego dożywotniego neurotyka. **(zp)**

Fot. **CAF**

WARUNKOWO JADOWITY, BEZWARUNKOWO PIĘKNY!

Afrykańskie żmije sykliwe wyglądają jakby były namalowane na żwirowej powierzchni, na której się wylegują. Trudno uwierzyć, że w ogóle żyją. Ich oczy, choć otwarte, robią wrażenie całkiem powleczonych jakąś świecą, metaliczną folią. Czy te gady nie są ślepe? Nie są. Teraz jednak robią wrażenie nadzwyczaj ospałych. Żmija sykliwa, choć śmiertelnie jadowita, w ogóle ma w literaturze opinię ociężałej i raczej łagodnej.

— Ale na zdobycz uderza błyskawicznie. Wtedy jest tak szybka i gwałtowna, że i człowiek ze swym refleksem nie ma z nią szans! — mówi p. inż **Jan Kopczyński**, kierownik działu akwarium i herpetarium w płockim ZOO. Człowiek, który od ćwierćwiecza nie tylko opiekuje się gadami, ale sam tworzy nieustannie tutejszą gadzią kolekcję — najbogatszy zbiór węży jadowitych, jaki istnieje w kraju.

Przesuwamy się wraz z naszym przewodnikiem od szyby do szyby, od terrarium do terrarium, poznając kolejne

1

żmije, połozy, grzechotniki

ale też dusiciele — bo i niejadowite gady tu są. Ale nasza przygoda dopiero się zacznie. Bo oto pan Kopczyński jakby nigdy nic otwiera boczne drzwi prowadzące na zaplecze terrariów. Odruchowo cofam się, no, ale... Nie wypada rejterować!

Pomieszczenie, choć gęsto zastawione sprzętem, na oko jest zwyczajne i miłe. Kwiatki, biurka, na ścianie kalendarz z panienką „na plażowo". Ale wygląd ustawionych w rzędy klatek mówi wszystko. Podwójne zamki, kłódki, stalowe okucia. Napisy na czerwono: „Uwaga: Zwierzę niebezpieczne!". Każda klatka ma w suficie metalowy kwadracik z otworem. Ten otwór — to jedyna droga bezpośredniego „porozumienia" z mieszkańcem klatki.

Nasz przewodnik bierze druciany hak i przetyka przez otwór. W klatce (dużo mniejszej, niż oszklone „wybiegi", które widzą zwiedzający) natychmiast wszczyna się ruch. Wąż, błyskając bielą spodu ciała, uderza o przednią szybę.

Raz, drugi... Skoro na atak odpowiada atakiem, a nie ucieczką i to tak zaciekle — wiadomo: to kobra. Jeden z najniebezpieczniejszych węży świata...

Gad cofa się w głąb klatki, unosi tułów i rozdyma jego górną część w charakterystyczną dla kobry tarczę. Ciarki przechodzą...

— Kiedyś, gdy zaczynałem — mówi nasz przewodnik — kobra to był szczyt marzeń. Dziś nie tylko jest tu wiele osobników i odmian tych zwierząt, między innymi dwa gatunki kobr plujących, ale i rozmnażamy kobry!

Rozmnażanie węży w niewoli, a kobr w szczególności, jest nie lada wyczynem. Pan Jan prowadzi nas w stronę jednej z klatek i śmiało otwiera przednią ściankę. Cofamy się odruchowo. Naprzeciw nas stają charakterystycznego słupka dwie młode kobry — miniatury, nie grubsze od palca. Ale i one są już jadowite!

Marzeniem szefa herpetarium jest kobra królewska. Ale — ba! Ona żywi się wyłącznie... innymi wężami. Trzeba by więc hodować je specjalnie dla niej, a na sprowadzenie choćby jednego z dalekich egzotycznych krain potrzeba sporo dewiz. Te „królewskie" wymagania najwspanialszej z kobr przerastają dzisiejsze możliwości ogrodu.

My, goście, niepewnie przeciskamy się wśród mnogości klatek, jak by nas one kłuły i parzyły. Aż ciśnie się myśl: co byłoby, gdyby któregoś razu ktoś pomylił klucze, zapomniał zamknąć kłódki, zasuwki...

— Nie, nie! — uśmiecha się tylko nasz gospodarz — to zdarzyć się nie może. Jest tu zresztą zasada: do klatek ma bezpośredni dostęp, połączony z prawem ich otwierania, tylko minimalna liczba pracowników, obsługi — pielęgniarzy zwierząt. Nic więc nie powinno, nie może się stać. Ale...

Raz uciekła kobra

Załoga herpetarium nie mogła dłuższy czas jej znaleźć, choć przetrząsano wszystkie kąty. Węża szukano dniami i nocami. Aż pewnego dnia...

Nasz rozmówca wskazuje na umieszczoną w kącie umywalkę. Obok niej biegnie pionowa rura, nieco odstająca od ściany. Otóż wtedy ktoś z personelu podszedł do umywalki, by umyć ręce i rzucił okiem na rurę tak szczęśliwie, że od razu dostrzegł groźnego zbiega, rozciągniętego na rurze od strony ściany. Dezerter został oczywiście pojmany i umieszczony w klatce.

Po tej historii nam, gościom, już każdy kąt wydaje się grozić jadowymi zębami i poruszać wężowym językiem. Tym większe wrażenie robi nagły syk — tak mocny, jakby odkręcono kurki zbiornika ze sprężonym gazem. Ach, to ten zwinięty boa dusiciel, na pozór tak spokojny, jakby spał. Czy ten, najwyżej grubości męskiego ramienia wąż może być dla człowieka groźny?

Owszem. Kiedyś przed wielu laty, Włodzimierz Puchalski kręcił jakiś film o wężach. Pan Jan asystował. W pewnej chwili przewiesił sobie węża „przez ramię", bo akurat chciał mieć obie ręce wolne. Dusiciel błyskawicznie oplótł się wokół swego opiekuna i chwycił tak żelaznym uściskiem, że p. Kopczyński zaczął się dusić, a parę osób musiało siłą węża odwijać...

Niektóre jadowite węże zawsze zadają jad, inne — tzw. warunkowo jadowite, tylko w pewnych warunkach. Na ile wąż jest jadowity, i jakie działanie ma jad, który zadaje (bo różne węże dysponują przeróżnymi truciznami!) — to część podstawowego kanonu wiedzy herpetologa. Te wiadomości nieraz decydują wprost o czyimś zdrowiu i życiu. Kiedyś pewien pan przywiózł z Indii węże w prawdziwym koszyku fakirskim. Zaprosił do domu kolegę i po powitalnej butelce postanowił pochwalić się zdobyczą. Efekt: jeden wąż uciekł i zawieruszył się w mieszkaniu, ukąsiwszy przedtem gospodarza w palec. Nie było jednak wiadomo, jaki to dokładnie gatunek węża i jaką trzeba ofierze tej zabawy wstrzyknąć surowicę. Dopiero p. Kopczyński — nie bez trudu — rozstrzygnął: to *Natrix piscator*, zaskroniec indyjski, niejadowity, więc ukąszenie niegroźne.

No, a tu, w herpetarium? Czy w trakcie codziennych przecież kontaktów z najgroźniejszymi wężami nie zdarzały się wypadki ukąszeń? Nie, ani jednego ukąszenia w ciągu ćwierćwiecza! — zapewnia nas szef tego gadziego pensjonatu. Ale niekoniecznie jadu potrzeba, by herpetolog musiał czasem

wiać przez okno przed gadami...

Naprzeciw ściany, gdzie eksponuje się węże, są w pawilonie wielkie terraria, zamieszkiwane m.in. przez krokodyle. Do szczególnie cennych — obok aligatora chińskiego, jedynego osobnika w kraju — należy samica aligatora mississipijskiego, 58-letnia Marta, najstarszy mieszkaniec płockiego ZOO. Chciano ją „wydać za mąż" i uzyskać przychówek. Na nic. Nie chciała się związać z podarowanym jej samcem — przeciwnie, darła z nim koty. Kiedyś p. Kopczyński w towarzystwie innego pracownika wszedł do terrarium dla zażegnania kolejnej „małżeńskiej sceny". Otwarli szybę pomieszczenia, unoszoną do góry, podparli deską. Takie przekroczenie progu mieszkania krokodyli — to cała procedura. Wchodzi się stopniowo, przesuwając przed sobą metalowy płotek, chroniący nogi przed gęsto uzębionymi paszczami lokatorów. Ale tym razem i płotek nie pomógł. Niedobrana para wykazała bowiem niespodziewaną solidarność i jak nie ruszy z furią na intruzów. Ci jak niepyszni ratowali się ucieczką przez okno potrącając je i tłukąc w drobny mak. Gady o mało nie znalazły się w pawilonie. Oczywiście, podczas całej akcji nie było tam publiczności...

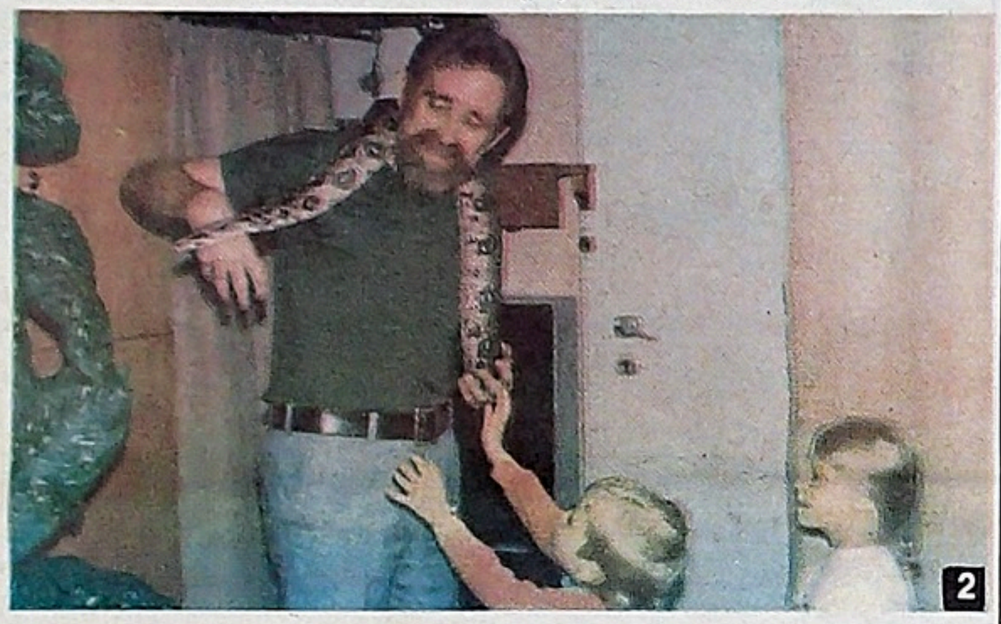

2

Na zdjęciach:

1. ***Kobra indyjska***
2. ***Pan Jan Kopczyński ze swym podopiecznym — tym razem niejadowitym dusicielem***

Krokodylica pozostała bezdzietną panną, a p. Kopczyńskiemu jak dotąd starczyć musi satysfakcja z przychówków innych gadów. Satysfakcja niemała. Herpetarium ma na swoim koncie takie sukcesy hodowlane, jak regularne rozmnażanie gekonów toke, kobr nepalskich, żmij sykliwych, żmij zygzakowatych, boa dusicieli, pytonów, węży mangrowych, zbożowych, amurskich i in. Wiele sztuk przekazuje się na zasadzie wymiany innym ogrodom, a niektóre odprzedaje też indywidualnym hodowcom. Ale...

Warunkiem prowadzenia takiego, jak to herpetarium jest posiadanie całego arsenału przeciwjadowych surowic. To konieczność, pomimo wszystkich wspomnianych już poprzednio zabezpieczeń. Cóż... zapas surowic, choć praktycznie nie używany trzeba co parę lat odnawiać, tracą bowiem z czasem swoje właściwości. Tymczasem w ostatnich latach niektóre specyfiki podrożały nawet wielokrotnie. Ogrodowi zaczyna brakować na nie funduszy, a znów brak surowic grozi likwidacją unikalnej w kraju kolekcji. Mamy nadzieję, że do tej likwidacji nie dojdzie!

Wyszedłszy z pawilonu mamy przed sobą świat niby taki sam, jak zawsze, ale... Teraz wszystko — gałąź, zwisający drut, poruszane wiatrem suche liście — zdają się pełzać, zwijać, syczeć...

TOMASZ KŁOSOWSKI

Wakacyjne wieści

„Z radością donosimy, iż bardzo dobrze wypoczywamy w maleńkiej miejsowości Sadek k. Szydłowca. Organizatorem kolonii jest oddział socjalny PKP w Kielcach.

Byliśmy w Kielcach, Nowej Słupi, na Św. Krzyżu, w Zagnańsku i Michniowie, małej wiosce, która na długo zostanie nam w pamięci. W planie mamy jeszcze wycieczkę do Warszawy, z której bardzo się cieszymy, gdyż większość z nas nigdy nie widziała stolicy.

Wesoło bawimy się na dyskotekach i ciekawych kominkach. Kuchnia serwuje obfite i smaczne posiłki. Jesteśmy zadowoleni, bo możemy dobrze wypocząć, nawiązać wiele nowych znajomości i przyjaźni. Przyjechaliśmy tu z Wałbrzycha i Lublina.

Dziękujemy wychowawcom, kierownictwu i organizatorom za te wakacje. Zapraszamy na ognisko 16 lipca.

— **Rada Kolonii i koloniści"**

OD REDAKCJI

Kolonistom z Sadka (na zdjęciu), z Zakopanego, Limanowej, Pucka, Jastrowia i wielu, wielu innych miejscowości serdeczne dzięki za pamięć, za pozdrowienia i zaproszenia. Jeśli nawet nie przyjedziemy (bo nie zdołamy!), ciepło o Was myślimy. Słowo honoru! I wszystkim życzymy udanych wakacji, wspaniałych przyjaźni, niezapomnianych (dobrych) przygód.

Skrzydlaty dźwig

Najsilniejszym śmigłowcem świata jest radziecki gigant Mi-26. Szczyci się on uniesieniem ciężaru o wadze 44 ton. Daleko w tyle pozostaje więc CH 53 E, amerykański helikopter wybudowany w słynnych zakładach Sikorsky. Jego udźwig wynosi „zaledwie" 16 ton. Radzieckie wyzwanie postanowił podjąć Amerykanin Igor Bensen z Relaigh w stanie Północna Karolina. Jego niewielka firma samolotowa dała się jak dotychczas poznać poprzez konstrukcję ultralekkiego jednomiejscowego śmigłowca. Nawiasem mówiąc, był on używany w jednym z filmów z superszpiegiem Jamesem Bondem.

Teraz Igor Bensen postanowił zbudować śmigłowiec, który mógłby unosić ciężary o wiele większe niż wynosi dotychczasowy rekord świata. Został już wybudowany prototyp, w odpowiednio zmniejszonej skali, przypominający jednak bardziej latającą kratownicę mostu niż helikopter. Ale — jak twierdzi twórca tej konstrukcji — może to być prawdziwa rewolucja w budowie śmigłowców.

Helikopter Igora Bensena zbudowany jest ze stalowych dźwigarów podobnych do tych, jakie używane są przy wznoszeniu fabrycznych hal. Pilot siedzi w niewielkiej gondoli, przypominającej kabinę traktora. Prymitywizm wyglądu zewnętrznego nie martwi jednak autora tego aparatu latającego. Dla niego liczy się tylko zdolność do udźwignięcia jak największego ciężaru. A obliczenia wskazują na to, że wyniki mogą być wręcz niezwykłe. 16 silników poruszających 8 śmigieł wynieść ma w powietrze ok. 160 ton! Śmigłowiec ten nie będzie rozwijał dużych prędkości, dlatego też problemy aerodynamiczne nie są, praktycznie rzecz biorąc, rozpatrywane. Maksymalna prędkość poruszania się ma wynosić 130 km/godz. Jak na razie największym problemem jest dokładne zgranie pracy wszystkich silników i śmigieł ze sobą.

Prototyp przyszłego giganta wzniósł się w powietrze w połowie ubiegłego roku. Obecnie Igor Bensen pracuje nad budową nowej, znacznie większej wersji swego helikoptera.

(mjm)

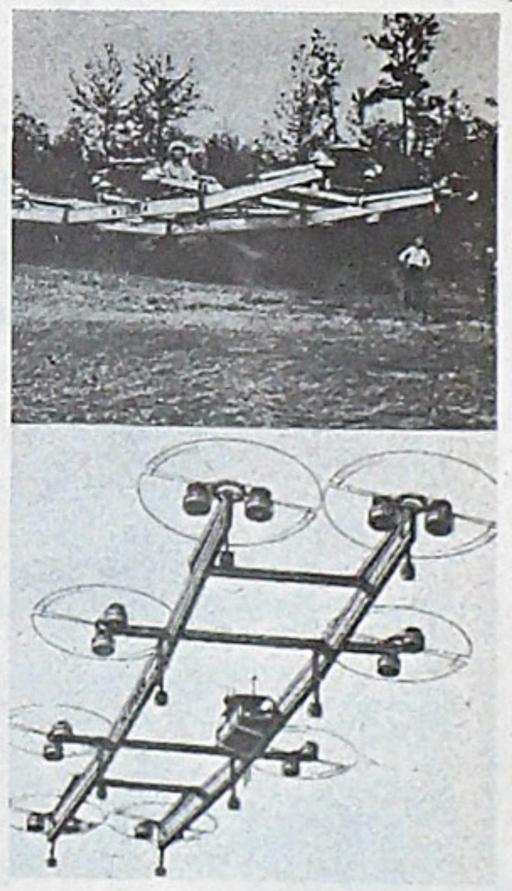

Rozwiązanie zagadki ze str. 3:

$$11 + \frac{11}{11} = 12$$

(J. Tuwim „Cicer cum caule czyli groch z kapustą")

Rozwiązanie krzyżówki ze str. 3

POZIOMO: 1. czapka, 2. marchewka, 3. mrówka, 4. Mańka, 5. kłódka, 6. Antoni, 7. gaz

PIONOWO: 2. pomarańcza, 3. agrafka, 4. magnes, 5. chrapanie

HASŁO: Czy Małgosia, czy też Zenia, każde dziecko ma MARZENIA.

PROFESJONALNY SHOW

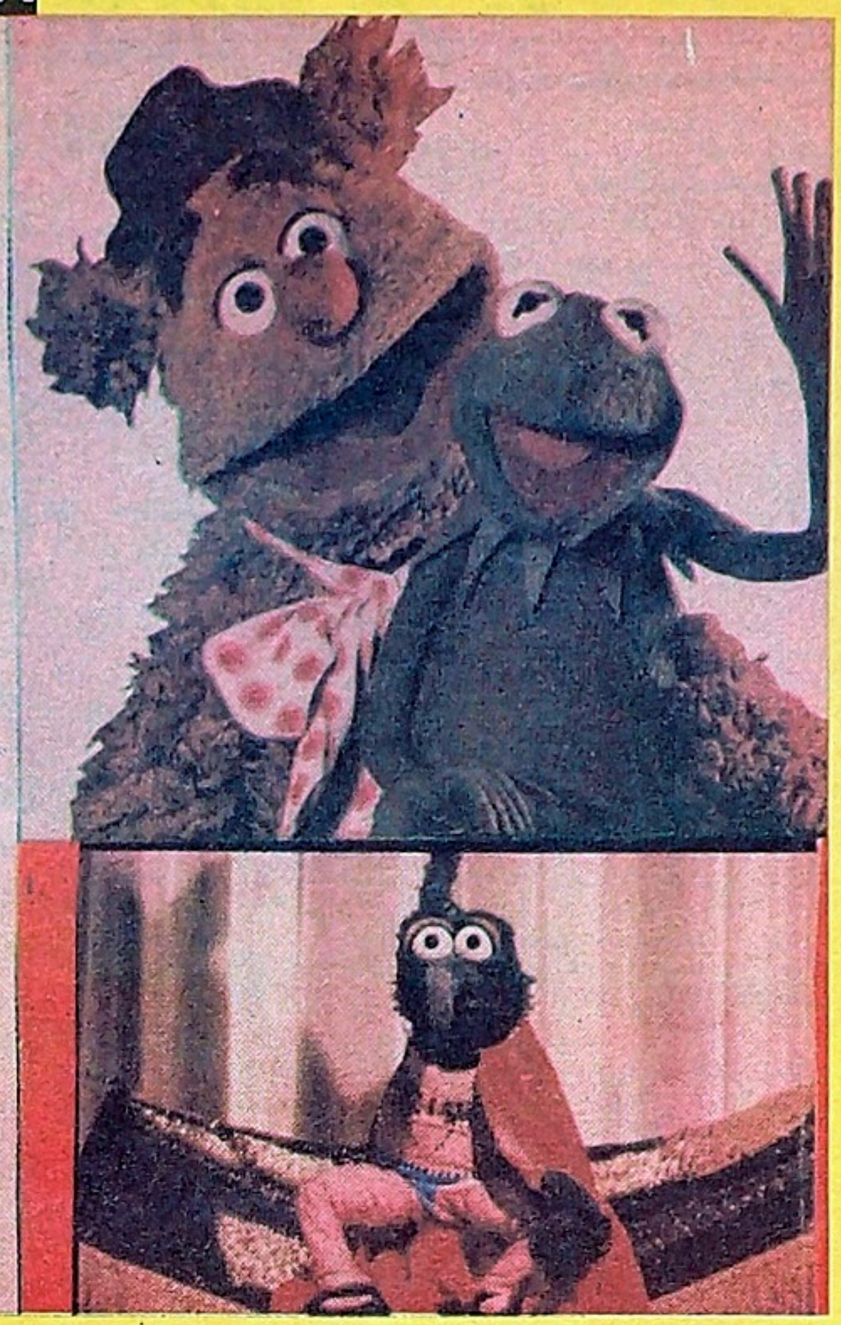

Na zdjęciach:

1. Jim Henson — producent filmowy, reżyser, scenarzysta, scenograf i aktor, a oprócz tego oczywiście — twórca Muppetów
2. Richard Hunt w trakcie programu animuje kukiełkę Scootera

Choć bohaterami tego serialu są kukiełki, śmiało jednak można o nich powiedzieć: gwiazdy. Muppety stały się swoistym fenomenem amerykańskiej telewizji. Ale nie tylko. Serial jest oglądany w blisko 150 państwach na całym świecie.

A wszystko zaczęło się w połowie lat pięćdziesiątych. Ówczesny student college'u — **Jim Henson** marzył o tym, by występować w telewizji. *„Gdy pewnego razu dowiedziałem się, że poszukują tam pomysłów do programu kukiełkowego, zrobiłem naprędce — z zielonego letniego płaszcza mojej mamy i dwóch pingpongowych piłeczek — żabę, prototyp obecnego Kermita. Zupełnie więc przypadkowo odkryłem w sobie kukiełkowy talent..."*

Muppety zadebiutowały w 1955 roku. Telewizyjny show z ich udziałem pt. „Sam i jego przyjaciele" już od pierwszego pokazu przypadł do gustu amerykańskim widzom. Kolejny program — „Sesame Street" i późniejszy — najbardziej znany na świecie — **„The Muppet Show"** — sprawiły, że sympatyczne stworzonka zdobyły niesłychaną popularność.

Ich powodzenie — to przede wszystkim zasługa Jima Hensona, który do „muppetowego przedsięwzięcia" przygotował się bardzo skrupulatnie. Chcąc zrobić program na najwyższym, profesjonalnym poziomie, zaznajomił się dokładnie ze wszystkimi elementami sztuki telewizyjnej. Interesowały go sprawy artystyczne, ale także i te — techniczne. Przeanalizował pracę wszystkich istniejących rodzajów kamer filmowych i obiektywów, opracował specjalne efekty. Zanim przystąpił do realizacji programu — postanowił, że jego show będzie widowiskiem uniwersalnym. Takim, które z zaciekawieniem oglądać będą mogli także dorośli, a nie tylko dzieci...

Królestwo Muppetów zaczęło się rozrastać. Dziewięciu scenarzystów, dwaj reżyserzy, trzydziestu projektantów kukiełek, dwaj kostiumolodzy, dwaj choreografowie — to tylko część ekipy realizującej programy w owej „artystycznej fabryce"... Henson zadbał także o odpowiednią oprawę muzyczną telewizyjnego serialu. Ogłosił najpierw konkurs muzyczny i drogą eliminacji wybrał grupę świetnych artystów. Wielu z nich pisało muzykę do najlepszych hollywoodzkich filmów. Do orkiestry zaangażował znakomitych muzyków grających na wszystkich prawie instrumentach, nierzadko prawdziwych wirtuozów znanych w świecie muzycznym.

Jim Henson — producent programów, szczególnie starannie dobierał aktorów. Konstrukcja mechaniczna Muppetów oparta jest przeważnie na zasadzie tradycyjnych kukiełek, ale wiele z nich ma budowę bardzo nowoczesną, umożliwiającą uzyskanie najbardziej skomplikowanych ruchów, gestów, min. Aktor ożywiający taką kukiełkę musi więc być doskonałym lalkarzem. To podstawowa, niezbędna umiejętność techniczna. Ale, co jest jeszcze najważniejsze, powinien być indywidualistą, posiadać własny styl — po to, by wydobyć i pokazać najistotniejsze, oryginalne cechy poszczególnych Muppetów.

Żona Jima Hensona — Jane — pracująca z nim od samego początku, tak określa „muppetowych aktorów": *Muszą doskonale wiedzieć, jak zachować się w każdej trudnej i niespodziewanej sytuacji, reagować bardzo szybko, a myśleć nawet w biegu"*. O pracę w programach starało się parę setek aktorów, ale tylko około 25 potrafiło podołać trudnym zadaniom.

Wśród fachowców animujących Muppety są między innymi: **Jim Henson,** który udziela głosu Kermitowi, **Frank Oz** — z prawdziwą finezją wcielający się w Miss Piggy, Misia Fazzie i orła Sama, **Richard Hunt** — „obsługujący" sześć Muppetów (m.in. Scootera), a także **Dave Golez** — ożywiający Wielkiego Gonza i pięć innych kukiełek...

W każdym odcinku „The Muppet Show" występuje Kermit — dusza i serce widowiska. Żaba, którą twórca Muppetów darzy największym sentymentem i jej właśnie powierzył prowadzenie programów. Kermit — miły konferansjer, troszczący się o swoich przyjaciół i wszystkich gości — ma pewną wadę... Uwielbia się przechwalać i rozgłaszać wszystkim o swoich osiągnięciach. Jednak, o dziwo, przywara ta czyni go jeszcze sympatyczniejszym...

Bezgranicznie zakochana w Kermicie i ogromnie o niego zazdrosna jest wielka dama Muppetów — Miss Piggy. Urocza świnka, pochodząca z małego miasteczka, postanowiła pewnego razu wziąć udział w konkursie piękności, by w ten sposób zrealizować swoje marzenia o sławie. Miss Piggy, choć czasami w zdenerwowaniu potrafi zareagować dość gwałtownie (zna karate!), w głębi duszy jest prawdziwą romantyczką... Nosi się bardzo wytwornie i udaje, że włada językiem francuskim...

Miś Fazzie — to wybitny komik, któremu jednak nie zawsze wszystko się udaje. Zwierzak ma ogromny apetyt. Scooter — nie chce ani sławy, ani pieniędzy i jest nieocenionym organizatorem przedstawień...

Muppety w swoim teatrze są odwiedzane przez gości: same sławy filmowe i muzyczne. Kogóż to już Kermit nie zapowiadał! Peter Ustinow, Liza Minnelli, Twiggy, Charles Aznavour, Roger Moor, Raquel Welch, Petula Clarc, Johny Cash... Listę można by ciągnąć jeszcze długo.

Kukiełkowy serial jest w Ameryce popularny i ceniony do tego stopnia, że podobno prestiż aktora w Hollywood zaczął zależeć od faktu czy występował on z Muppetami, czy też nie...

Opr. **(ist)**

A oto zagadka dla Was: na zdjęciu obok Misia Fazzie — kolejny gość Muppetów. Jak nazywa się ta pani?

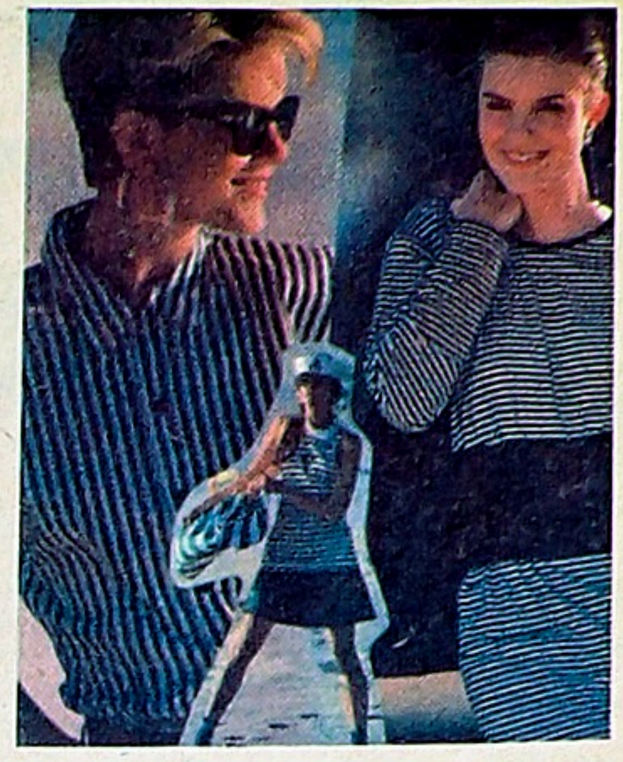

Człowiek w paski

Wśród paru modnych w tym sezonie deseni (m.in. róże, kropki, mdłe pastelowe kwiatuszki... — o różach już pisałam w maju, o innych będzie w najbliższych numerach) na czoło wysuwają się paski. Ponoć się wysuwają, bo się o tym dużo mówi, ale... mniej się je ogląda, przynajmniej na naszej ulicy i na wystawach naszych sklepów z gotową konfekcją. Nie wiem, czym jest to odstępstwo praktyki od teorii spowodowane — podejrzewam, że trochę brakiem odpowiednich materiałów (ale jakich jest pod dostatkiem?!), a trochę obawą, że... paski są mało ciekawe. Kilka zagadniętych w tej sprawie nastolatek odpowiedziało mi — „Paski?! A niech sobie będą modne, ale komu jest w tym dobrze?!"

Hm, najdalsza jestem od naginania kogokolwiek do jakichś konkretnych nurcików w modzie, zwłaszcza że jest ich bez liku i każdy sobie sam powiniem wybierać to, co mu najbardziej odpowiada, ale z tą opinią o paskach trudno jest mi się zgodzić. Uważam bowiem, że paski — nawet te drobne i monotonne, bo dwukolorowe, biało-jakieś — może i bardzo efektowne nie są, ale mają masę wdzięku, którego uparłyśmy się nie doceniać. Popatrzcie na zdjęcia! Czy ta bezpretensjonalna koszulowa bluzka nie jest śliczna?! Czy ta sukienka-tunika z dzianiny w drobniutkie pasećki poprzeczne, ściśnięta w talii bardzo szerokim gumowym pasem (przebój!) to nie sam urok?! I takie bluzki, i takie sukienki (niemal dokładnie identyczne) widziałam w paru sklepach — leżały wciśnięte pomiędzy stosy niechodliwych bubli i nikt się nimi nie interesował. No, mniejsza o to.

Chciałam podpowiedzieć Wam jeszcze jedno. Otóż paski, a konkretnie pasiaste bluzki z bawełnianej dzianiny są podstawowym składnikiem tzw. stylu marynarskiego czyli wakacyjnej przebieranki na... niby marynarza. Styl to stary jak świat niemal i od dziesiątków lat się po modzie wakacyjnej plącze, ulegając zresztą z roku na rok kolejnym przeobrażeniom i... uproszczeniom. W tej chwili, to już nie tylko nie ma mowy o klasycznych „marynarskich kołnierzach", ale nawet o... marynarskich kolorach. Z dwóch (biały i granatowy) pozostała tylko biel, a ten drugi może być jaki kto chce. Wystarczy, że bluzka jest w poprzeczne paski, że jest na niej jakiś... morski emblemacik (żaglówka, kotwiczka czy coś takiego), że na głowie ma się białą, niby marynarską czapeczkę, a na nogach tenisówki i skarpetki zgrane z resztą stroju — i już się to nazywa „styl marynarski". I nie tylko nazywa, ale i tak wygląda — nauczyliśmy się bowiem operować symbolami i wyćwiczyliśmy swoją wyobraźnię. Kto lubi się przebierać — to jest to jakiś pomysł. Akurat na końcówkę wakacji, gdy człowiek koniecznie chciałby sobie udowodnić, że lato będzie jeszcze trwać, i trwać, i trwać... Styl marynarski, to właśnie taki symbol wiecznych wakacji.

RIUSZKA

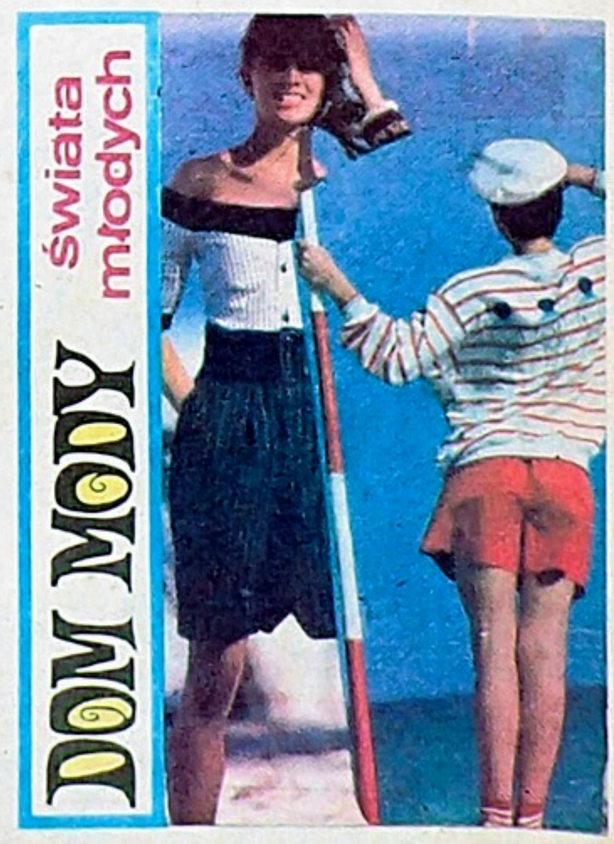

dawno... niedawno...

GODZINA „W"

1 sierpnia 1944 roku na ulicach Warszawy trwała konspiracyjna koncentracja oddziałów Armii Krajowej. Rosło napięcie i oczekiwanie. **O godzinie 17** nadeszła godzina „W". Wybuchło powstanie. AK pod dowództwem płk. Antoniego Montera-Chruściela rzuciła do walki około 32,5 tys. żołnierzy w samym mieście i ok. 4 tys. w obwodzie podmiejskim. Do powstania przyłączyły się oddziały Armii Ludowej (w sile około 300 osób), Polskiej Armii Ludowej (około 120 osób) i Narodowych Sił Zbrojnych (około 700 osób). Oddziały powstańcze posiadały zrazu 7 sztuk ciężkich karabinów maszynowych, 60 ręcznych karabinów maszynowych, 1400 karabinów, 1700 pistoletów i 25 tys. granatów. Przeciw tym siłom Niemcy rzucili początkowo 16 tys. żołnierzy w pełnym uzbrojeniu, a wkrótce siły hitlerowskie zostały wzmocnione o około 25 tys. żołnierzy, lotnictwo, czołgi, artylerię, moździerze oraz zdalnie sterowane bomby samobieżne „Goliat".

Dramatyczna decyzja o podjęciu walki w stolicy miała wiele przyczyn i uwarunkowań. Przede wszystkim — tu wszystkie źródła historyczne są dziś zgodne — miała wyraźny podtekst polityczny. Opanowanie miasta — stolicy Polski — przez Armię Krajową i tym samym objęcie w niej władzy przez przedstawicieli polskiego rządu na emigracji (londyńskiego) stanowiłoby wyraźną demonstrację polityczną wobec ZSRR i popieranych przezeń władz PKWN (lubelskich); ponieważ spodziewano się, że lada dzień Armia Czerwona wyzwoli Warszawę, dobrze by było — zdaniem polityków związanych z rządem emigracyjnym — by władze radzieckie „zastały tu gospodarza".

Po drugie — decyzja o wybuchu powstania miała cechy samoobrony: 28 lipca Niemcy rozlepili plakaty nakazujące stawienie się 100 tysięcy mężczyzn do prac fortyfikacyjnych, pragnąc uczynić z Warszawy twierdzę, wystawioną na zupełne zniszczenie.

Po trzecie — w sytuacji, gdy duża część społeczeństwa stolicy pałała żądzą walki, istniało niebezpieczeństwo, iż powstanie wybuchnie spontanicznie.

Niemniej jednak, Komenda Główna AK, której rząd londyński pozostawił w dniu 26 lipca wolną rękę co do ogłoszenia powstania w Warszawie, podejmując tę decyzję popełniła co najmniej dwa zasadnicze błędy. Nie uzgadniając planu powstania z dowództwem Armii Czerwonej, trudno było liczyć na współdziałanie w tej mierze z wojskami radzieckimi; tym bardziej że powstanie było wojskowo skierowane co prawda przeciw Niemcom — lecz politycznie — przeciw ZSRR. Nie powiadomiono także głównego sztabu zachodnich aliantów; sztab ten później zajął negatywne stanowisko w kwestii włączenia powstania w swoje plany wojskowe.

Ocena Powstania Warszawskiego pozostaje cały czas otwarta i każde pokolenie uczące się historii roku 1944 uczestniczy od nowa w sporze o istotę i wartość tego bohaterskiego zrywu Polaków.

SZPERACZ

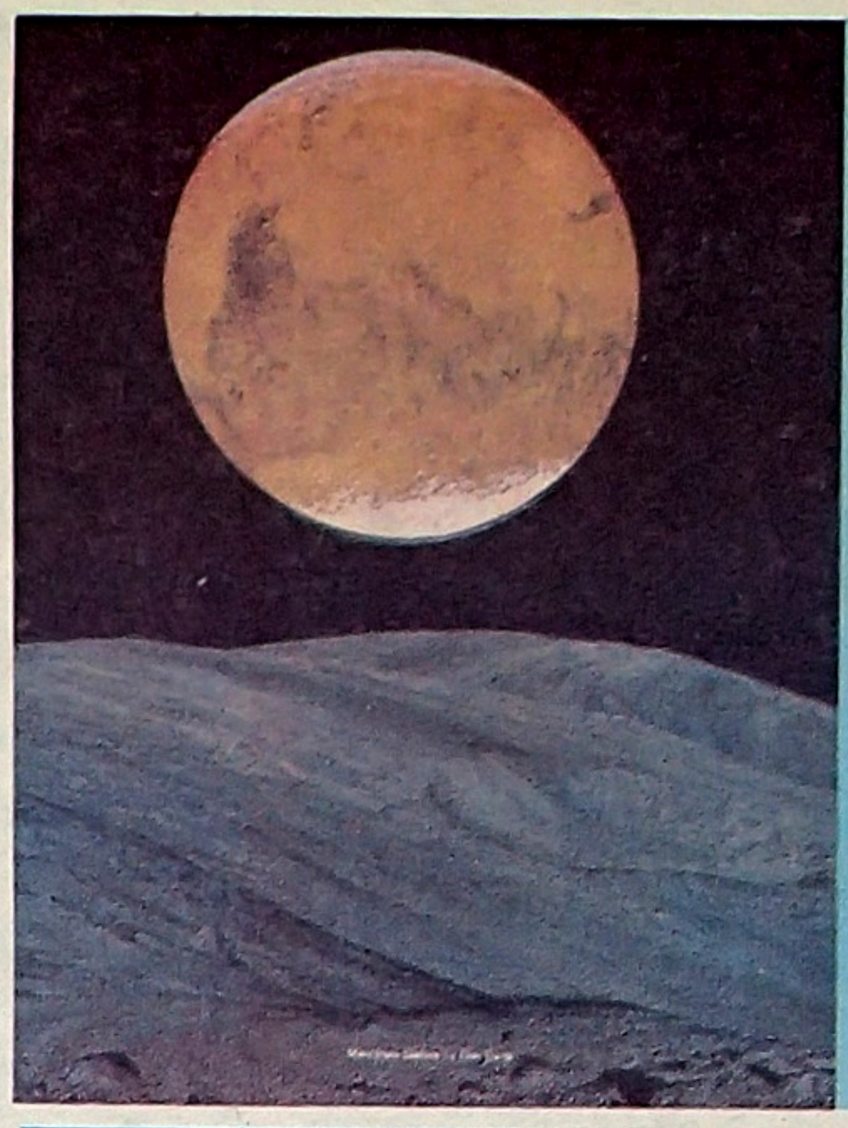

Bądźcie zawsze krytyczni

Chciałbym do solidnego artykułu Arkadiusza dorzucić parę uwag. Otóż przykład badań Marsa jest znakomitą ilustracją tezy, jak można naciągać wyniki do z góry założonej tezy. Aż dziw bierze, ilu poważnych uczonych dało się zwieść pragnieniem osiągnięcia sukcesu za każdą cenę. Tak było po odkryciu słynnych „kanałów" w 1877 roku przez Włocha Schiaparellego. Poważny uczony angielski P. Lowell swoim autorytetem potwierdził istnienie sztucznych kanałów na Marsie. A w czasach nam już bliskich dużo było szumu na temat marsyjskiej roślinności. Potwierdzili to swym autorytetem tacy uczeni jak Antoniadi, Dollfus, Kuiper, Tichow, Sinton. Ten ostatni w 1958 r. odkrył w widmie „mórz" marsyjskich pasma absorbcyjne świadczące o obecności związków organicznych. W widmie „lądów" pasma te nie występowały. Odkrycie Sintona miało być niepodważalnym argumentem za istnieniem życia organicznego na Marsie.

Albo sprawa z księżycem Marsa, Phobosem, który wg obliczeń Sharplessa miał tak szybko obiegać planetę, iż po 15 milionach lat skończyłby upadkiem na powierzchnię Marsa. Obliczenia Amerykanina „potwierdził" niejako swym autorytetem Szklowski dodając od siebie fantastyczną hipotezę, iż Phobos jest w środku pusty, a więc sztuczny, wykonany przez Marsjan. I znowu blamaż, okazało się wszystko na opak, księżyc obiega planetę wolniej niż powinien, a więc nie spada na Marsa, ale przeciwnie — oddala się od niego.

Po co zgłaszam te uwagi? Jak zwykle po to, aby wyrabiać w Was zmysł krytycyzmu. Nie można bezgranicznie ufać wynikom badań, jeśli oparte są one na mglistych przesłankach. A już na pewno z dużą rezerwą należy podchodzić do wszelkich hipotez. Mars ciągle jest dla nas planetą nieznaną, i wiele lat upłynie nim poznamy jego tajemnice.

PREZES

Na zdjęciu:
Tak wyobraża sobie Don Davies widok Marsa z powierzchni jednego z jego księżyców — Deimosa

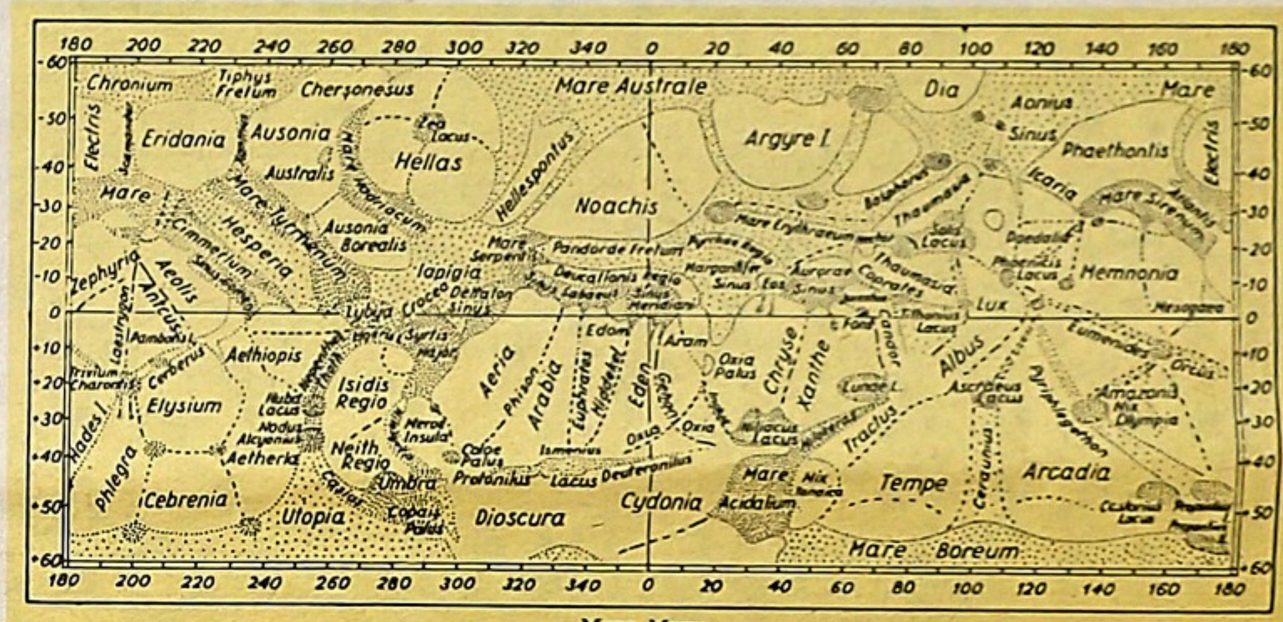

Mapa Marsa

MARS CIĄGLE NIEZNANY

Mars jest czwartą, licząc od Słońca, planetą naszego układu planetarnego. Wiele rewelacyjnych danych przyniosły badania Marsa wykonane za pomocą sond kosmicznych typu „Mariner" i „Mars". Już pierwsze zdjęcia planety zaskoczyły astronomów. Powierzchnia Marsa okazała się podobna do Księżyca. Po dokładnej analizie zdjęć, uczeni doszli do wniosku, że Mars nie jest bliźniakiem Księżyca. Wygląda na to, że Czerwona Planeta jest jedyna w swoim rodzaju w systemie słonecznym. Na podstawie zdjęć z Marinerów wyróżniono trzy rodzaje powierzchni Marsa:

1. Teren pokryty kraterami;
2. Obszar usiany na przemian wzniesieniami i kotlinami długości kilku kilometrów, tworzących chaotyczny obraz. Obszar ten zajmuje na zdjęciach około miliona km²;
3. Tereny równinne, na których nie ma kraterów wyższych niż 300 m. Przykładem takiego obszaru może być pustynia Hellas o powierzchni 4 mln km². Ciśnienie atmosfery na powierzchni Marsa wynosi 6,4–7 milibarów, a głównym jej składnikiem (ok. 90%) jest dwutlenek węgla. Nie ma w atmosferze ani azotu, ani metanu czy amoniaku. Wykryto natomiast minimalne ilości wody (1 miliard razy mniej niż na Ziemi). Temperatura na równiku osiąga w dzień ok. 30°C, natomiast w nocy spada do − 80°C. W okolicach biegunów pokrytych zestalonym dwutlenkiem węgla temperatura spada do − 130°C.

Jądro Marsa o średnicy 1500–1900 km jest w stanie stałym, a jego temperatura wynosi 800–1500°C. Nie ma tam przypuszczalnie żadnych zjawisk wulkanicznych. Czerwona Planeta nie ma, praktycznie rzecz biorąc, pola magnetycznego.

Niezwykłe księżyce

W 1877 r. w czasie wielkiej opozycji Marsa poszukiwania jego księżyców podjął się astronom z Waszyngtonu, Asaph Hall. W dniu 11 sierpnia Hall odkrył dalszy z księżyców Marsa, a w dniu 17 sierpnia także bliższy. Nazwał je: bliższy — Phobos, a dalszy — Deimos. Układ księżyców Marsa jest jedynym w swoim rodzaju. Phobos okrąża Marsa w odległości około 6000 km od powierzchni, a Deimos w odległości 20 000 km. Jak na stosunki kosmiczne są to wielkości bardzo małe. Deimos wykonuje jedno okrążenie w ciągu 30 h 18 min., a Phobos zaledwie 7 h 39 min. Oba satelity są bardzo maleńkie, tak małe, że widać je z Ziemi przez teleskopy, jako punkty świetlne. Phobos ma średnicę 15 km, a Deimos 8 km. W 1945 r. astronom amerykański S. Sharpless opracował pomiary pozycji księżyców Marsa. Wynik był rewelacyjny. Okazało się, że Phobos porusza się coraz szybciej, to znaczy, że powoli opada na planetę. Ale Phobos spadał za szybko i już za 15 milionów lat miał upaść na planetę. Aby to wyjaśnić trzeba było założyć, że Phobos jest w środku pusty. Ten pogląd wyraził Szklowski, następnie wysunął hipotezę, że jest on sztuczny. W 1970 r. radziecka astronautka, Waszkowiak, po dokładnym przeanalizowaniu obliczeń Szklowskiego wprowadziła drobne poprawki i stwierdziła, że Phobos nie opada na planetę, ale oddala się od niej, więc Phobos nie jest pusty. Oglądając oba Księżyce można stwierdzić, że są to planetoidy, ponieważ mają nieregularne kształty.

Szalejące burze piaskowe

Kratery marsjańskie są bardziej płaskie niż kratery księżycowe, co świadczy o silnej erozji atmosferycznej na Marsie. Wprawdzie jego atmosfera jest bardzo rzadka, to jednak wieją tam silne wiatry, przenoszące ogromne ilości pyłu na wielkie odległości. Przykładem może być chociażby przebieg ostatniej burzy pyłowej na Marsie, kiedy to szybkość wiatru dochodziła do 360 m/s. Najwyraźniejszymi obiektami na powierzchni Marsa są niewątpliwie jego czapy polarne, czyli rozległe białe pokrywy w okolicach jego biegunów, utworzone z dwutlenku węgla.

Na następne wiadomości z powierzchni Marsa należy poczekać aż do następnego szturmowania, tej planety przez sondy kosmiczne. Być może, że któryś z lądowników po osiągnięciu powierzchni Marsa przekaże wiadomość następującej treści: „Zostały odkryte bakterie, odporne na działanie niskich temperatur i dwutlenku węgla. Są w stadium rozwoju".

Arkadiusz Soroka

— Przenigdy! — krzyknęła Paulina i wybiegła z domu w stronę plebanii.

Ojciec Pauliny siedział w Komisariacie tyłem do barierki. Za barierką stał starszy sierżant Golanko i słuchał, co mówi do niego porucznik z Powiatu. Słuchał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Porucznik przemawiał odgórnie. Był cały wymuskany, mundur aż lśnił, a w butach przeglądała się podłoga. Z całą pewnością był jednym z tych, co to czynią porządek u kogoś, nie ruszając się zza biurka.

Sierżant Golanko raz w tygodniu przymykał ojca Pauliny na kilka godzin za tak zwane zakłócanie ciszy nocnej. Lecz były to zupełnie inne sprawy od tej, dla której musiał zabrać człowieka z domu, na oczach jego matki i dziecka. Sierżant Golanko nienawidził tego. Porucznik nadal przemawiał, chodząc.

— Nigdy niczego nie zbroił! — przerwał mu wreszcie sierżant.

— Nie opowiadajcie mi przypuszczeń, sierżancie — odparł porucznik. — To nieistotne.

— Opowiadam fakty — odrzekł Golanko. — I zapodam je w opinii.

Gdy tak rozmawiali, do Komisariatu wpadł ksiądz.

Słucham obywatela — rzekł Golanko, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy.

— Daj se spokój, synu — na to ksiądz. Wskazał na ojca Pauliny. — Za co?

— Przecież nie za politykę — na to porucznik odgórnie.

— Pewnyś tego, synu? — na to ksiądz.

Porucznik zamilkł, nieco zaskoczony. Ksiądz przyciągnął nogą krzesło i posadził na nim swoje sto kilogramów.

— Jest taki przepis — pouczył, patrząc na milicjantów surowo — że rodzinie mówi się, za co.

— To ksiądz jest rodziną? — zdziwił się ironicznie porucznik.

— Wszyscy należymy do Boga — odrzekł ksiądz. — Ty też, synu... tu zmienił głos, podnosząc go w miarę mówienia. — Powiedz, za co nałożyłeś mu kajdanki? Za co zabrałeś ojca dzieciom? Dlaczego pozbawiłeś rodzinę jedynego żywiciela? Kto dał ci prawo, synu, być aż tak okrutnym?!

W miarę, jak mówił, porucznik zmieniał się na twarzy. Kpina przeszła w zaskoczenie, a to ostatnie w gniew sprawiedliwego.

— Jakie kajdanki? — spytał nieco piskliwie, wskazując na wolne ręce zatrzymanego. — Niech mi ksiądz nie wmawia stosowania przemocy... W obliczu prawa ten obywatel...

— Ty mi o prawie nie mów, synu — przerwał ksiądz. — Pogwałciłeś najważniejsze. O miłości bliźniego.

Porucznik blady ze wściekłości patrzył na księdza i patrzył. Dobrodziej przeszedł na ton serdeczny.

— Zbłądziłeś, synu, to się zdarza... Przebaczam ci. A teraz opowiedz, jak na spowiedzi, co się wydarzyło.

— Ten obywatel — wyznał porucznik z oporem — pobił inżyniera w dniu wypłaty. Zginęło też kilka tysięcy.

— Ja go znam — mruknął Golanko. On kilku tysięcy w kupie od dawna nie widział.

Porucznik spojrzał ostro. Potem pouczył księdza.

— Obywatel inżynier wniósł skargę. Moim obowiązkiem jest...

Ksiądz przerwał mu bezceremonialnie. Obrócił się do ojca Pauliny.

— Jak było?!

— Znalazły się zaraz. Kasjer je zapodział z nerwów... — mruknął ojciec Pauliny. Był trzeźwy, przygaszony, w ogóle nie miał wiele do powiedzenia.

— Znalazły się! — podchwycił porucznik — owszem, musiały się znaleźć! Nie miały wyboru!...

Ojciec Pauliny obejrzał się na niego posępnie, ale nie rzekł słowa.

Ksiądz wtargnął bezceremonialnie.

— Nigdy nie słyszałem, aby można było bić jednego i równocześnie kraść drugiemu. W dodatku na drugim końcu pola. Przez trzydzieści lat opowiadają mi różne rzeczy, przechwalając się, jacy to byli sprytni, ale czegoś takiego przez kratkę nigdy jeszcze nie słyszałem.

Cdn.

Wesołych Wikingów

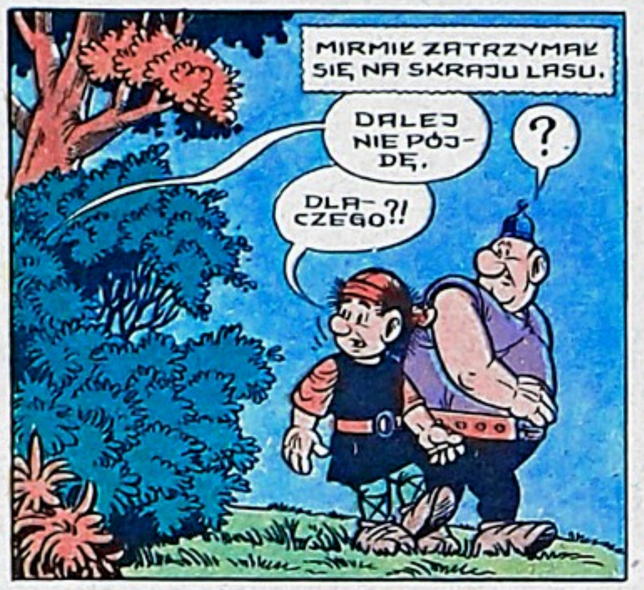

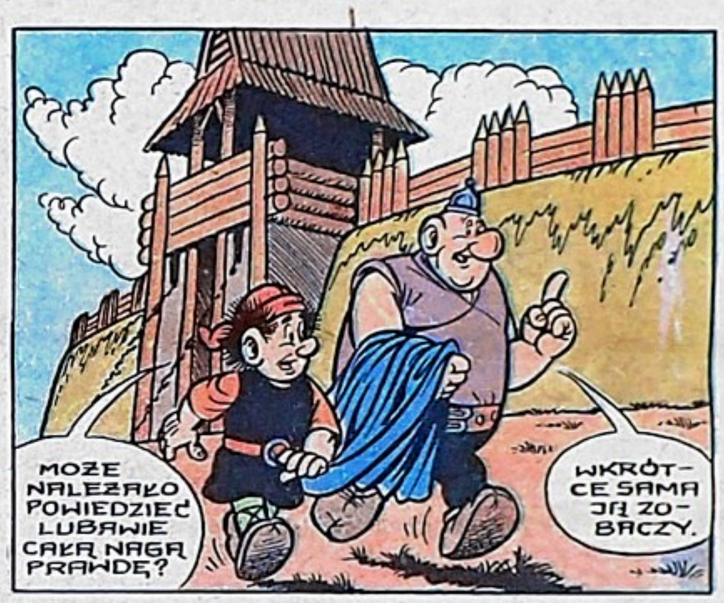

Tekst i rysunki J. CHRISTA

ŚWIAT MŁODYCH

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 91 (4486)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. TELEX 813658.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, TELEX 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42, **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48, **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13). **Fotoreporterzy** tel. 21-98-28.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403. Cena ogłoszeń: 450 zł za 1 cm², 200 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-138-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Magdalena Piotrowska
Opracowanie techniczne: Barbara Zając
Korekta: Barbara Boguszewska
Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"
Zam. 2861/G/88. U-27
Nakład 439 000 egz.

UŚMIECH NUMERU

PAŃSTWO MĄDRALOWIE wybrali się z córką swoim samochodem na dłuższą wycieczkę. Nagle złapali gumę. Pan Mądrala — zły jak ocet — kazał paniom wysiąść, a sam wziął się za wymianę koła. Wtem zaczął padać rzęsisty deszcz. Pani Mądralowa na ucho do córki:

— Ale dopiero gdy założy nowe koło, powiemy tacie, że w dodatku pomyliliśmy drogi...!

•

PAN MĄDRALA kupuje „rasowego" psa.

— Czy ten pies ma swoje drzewo rodowe?

— Oczywiście, proszę pana — odpowiada sprzedawca — pierwsze na prawo od wejścia do miejskiego parku.

Ewa Przybylska

Ale Pan był dzisiaj tylko połową siebie. Oczy jego raz po raz wędrowały do drzwi, kogoś oczekując. Wszyscy wiedzieli kogo, i bardzo mieli za złe pięknej Danieli, że się spóźnia.

— Może tak coś z „Mazowsza"?... — odezwał się zza parawanu dobrodziej.

Pan zawahał się. Dobrodziej wystawił głowę zza gazetki i patrzył ciekawie, jak Pan walczy ze swoją pokusą. Ksiądz dobrze wiedział, dlaczego Pana na nią wystawił. Pan poddał się wkrótce.

— „Hej przeleciał ptaszek"... — zaproponował jakby nieśmiało, a oczy jego znowu daremnie pobiegły do drzwi. — Paulina!...

Paulina zaczęła cicho piosenkę dziewczyny, która czekała na swego chłopca. Paulina wiedziała, że sama nigdy nie będzie na nikogo czekać, lecz mimo to, śpiewając, czuła się przedziwnie zniewolona tęsknotą za czymś, co odeszło...

Potem włączył się Pan ze swoim srebrem. Pocieszał dziewczynę tak, jak sam pragnąłby być pocieszony. Paulina czuła to wyraźnie. Czuł to nawet dobrodziej i wyszedł jawnie zza parawanu.

Kiedyś matki różańcowe stojące pod oknem wzięły za złe to świeckie śpiewanie. Dobrodziej miał dobre ucho i posłyszał sarkanie. Zaraz po pierwszej niedzieli wyrąbał z ambony, patrząc z góry w najważniejsze ławki, że Boga można chwalić każdą pieśnią, byle skromną. A już najpiękniej można uczcić Boga miłością bliźniego. Odtąd matki różańcowe gorszyły się bez słów. Ale nie odchodziły od okna, patrzyły do środka i po kryjomu pociągały nosem.

Nagle głos Pana załamał się. Był to tylko ułamek sekundy, lecz wszyscy spojrzeli na drzwi. To weszła Daniela. Wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle. Pośpiech wymalował na jej twarzy rumieńce, oczy błyszczały, złote włosy rozsypały się i pokryły ramiona.

Pan bez słowa wskazał miejsce. Włączając się, Daniela przepraszała za spóźnienie. Wszyscy wpatrywali się w Pana. Czekali, jak też pogodzi swoją miłość z obowiązkami dyrygenta. Paulina również czekała. To czekanie było jak ból. Milczenie Pana trwało tylko chwilę, głos mu nie drgnął, gdy surowo upomniał Danielę. Wtedy Daniela rozpłakała się. A Pan jak nie huknie:

— Opanuj się, Daniela. Pracujemy!

Daniela otworzyła z zaskoczenia usta, ale jeszcze szerzej oczy. Zapomniała płakać. Dobrodziej wyszedł zza parawanu i chrząknął. Paulina czuła, jak ostatni kamień zsunął się z jej serca. Jak ogarnia ją radość, że nie będzie musiała przestać podziwiać Pana.

Nagle Paulina dostrzegła w oknie najstarszego Golankę. Dawał ponaglające znaki. Paulina natychmiast zrozumiała, o co chodzi. Wyszła ze swego miejsca, nawet nie przepraszając.

Najstarszy Golanko czekał w bramie. Jego małe oczy spojrzały na Paulinę wprost.

— Poszedł po niego. Musiał — mruknął. — Taki urząd. Paulina kiwnęła głową. Zostawiła Golankę, rzuciła się biegiem przez łąki w stronę kolonii. Dobiegła do domu w chwili, gdy gazik ruszał. Wóz prowadził jakiś bardzo młody milicjant z gwiazdkami na czapce. Sierżant Golanko siedział z tyłu obok ojca Pauliny, milczący i ponury.

Paulina schowana w krzakach patrzyła za odjeżdżającymi. Potem wpadła do domu. Babcia stała w kuchni przy oknie, zbielała i cicha. Mariusz płakał głośno. Paulina złapała brata i wypchnęła go za drzwi.

— Koniec z nami, córuchna — rzekła babcia.

Dokończenie na str. 7